

# NAOKOŁO ŚWIATA

96/17 37



2 50

MA 86



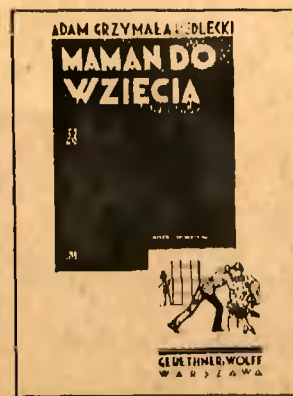
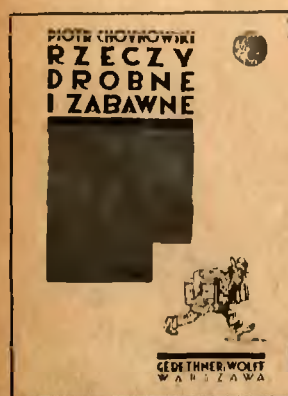
# NAJLEPSZA LEKTURA NA LATO I W PODRÓŻY KSIĄŻKI LILJOWE



GEBETHNERA  
I  
WOLFFA  
KAŻDY TOM  
ZŁ. 5.80



ŻĄDAJCIE ICH W KAŻDEJ KSIĘGARNI  
I KIOSKACH T=WA „RUCH”







# KOSMETYKI WYTWORNEJ PANI!

## DENTOSAN

DAJE BIAŁE, ZDROWE ZĘBY.  
NIE NISZCZY EMALJI.  
PASTA ·· PROSZEK ·· ELIKSIR

## HAZ-ELITE

IDEALNY KREM NA LATO!  
MATUJE I ZABEZPIECZA  
CERĘ OD WYSUSZENIA.

## SAVONA

PROSZEK DO MYCIA GŁOWY.  
USUWA NADMIAR TŁUSZCZU,  
ŁUPIEŻ, OCZYSZCZA PORY  
SKÓRY.

## PETROL

PŁYN DO WŁOSÓW.  
WZMACNIA CEBULKI,  
NISZCZY ŁUPIEŻ.







Fot. Pac. i Atl.

Znany silacz niemiecki Hans Rucker podczas pobytu w Ameryce dokonał próby swych sił wstrzymując dwa startujące samoloty

---

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

### W Ł O S Y.

Wszyscy wiemy, jak ładne, gęste włosy podnoszą urodę i piękność. Nic więc dziwnego, że staramy się je utrzymywać w największym porządku, konserwując je i zapobiegając wypadaniu, oraz tworzeniu się łupieżu. Jednym z najlepszych środków dla utrzymania bujnych i puszystych włosów jest bezsprzecznie  *płyn Tetral*. Najbardziej wycieńczone cebulki włosowe, zasilane *Tetralem*, wzmacniają się i powracają do życia. Zaczynając kurację, trzeba wymyć włosy mydłem *Tetral*. Następnie codziennie zwilżać włosy *Tetralem*, a po kilku dniach przestaną wypadać. *Tetral* radykalnie zapobiega wypadaniu włosów i w ciągu 2—3-ch dni usuwa łupież i swędzenie. Przy stałym używaniu *Tetralu* włosy nigdy nie osiwieją.

#### *Usuwanie zbytecznych włosów.*

Zbyteczne włosy najlepiej i najprędzej można usunąć, stosując *Epil-Max*. Jest to najlepszy ze znanych środków, działa szybko, pewnie i nie wywołuje zaczerwienienia ani podrażnienia skóry.

#### *Farby do włosów.*

Najlepszą z farb do włosów jest *Hennolina*, używana jednocześnie z *Degresatorem*, lub farba orzechowa *D-ra Jima*. Kto sobie może pozwolić na droższą, to niema lepszej nad farbę francuską *Paul Marquis*, Paris. Jest ona w sprzedaży w dziesięciu odcieniach, tak że można ją dobrać do każdego koloru włosów.

Żądać przy kupnie tylko oryginalnej francuskiej farby *Paul Marquis*, Paris, gdyż znajdują się w handlu i krajowe fałszyfikaty.

*M-me Ercèdes.*

## Treść Numeru 86-go Str.

|   |         |
|---|---------|
| <i>A. Czarliński:</i>   |         |
| Prehistoryczna gwiazdziarnia na Pomorzu (4 ilustracje)                      | 3—6     |
| <i>B. Szarlitt:</i>   |         |
| Ostatnia uczta (4 ilustracje)   | 7—16    |
| <i>Aleksander Jania-Polczyński:</i>   |         |
| Paryż naukos (5 ilustracji)   | 17—24   |
| Ilustracje  | 25—28   |
| <i>Stanisław Mycielski:</i>   |         |
| Samochodem na lwa (14 ilustracji)   | 29—44   |
| <i>Włodzimierz Popławski:</i>   |         |
| Proszę państwa, trochę śmiechu (9 ilustracji)                               | 45—60   |
| Ilustracje  | 61—64   |
| <i>Seweryn Pollak:</i>  |         |
| Jak strażnik Cholewka zabił młodą dziewczynę<br>(6 ilustracji H. Walickiej) | 65—74   |
| Na dachu „drapaczka chmur” (ilustracja R. Wyłcana)                          | 75—76   |
| <i>mj.:</i>   |         |
| Jedziemy... na rybki... (7 ilustracji)                                      | 77—84   |
| <i>Jan Starża Dzierżbicki:</i>  |         |
| Co gwiazdy mówią o naszym kraju (8 ilustracji)                              | 85—96   |
| Ilustracje  | 97—100  |
| Ludzie i zwierzęta (10 ilustracji)  | 101—108 |
| <i>Aleksandra Aniela Wojska:</i>  |         |
| Srebrzysty rycerz (6 ilustracji M. Panasa)                                  | 109—126 |
| Najromantyczniejsza postać naszych czasów (4 ilustr.)                       | 127—132 |
| Ilustracje  | 133—136 |
| <i>W. P.:</i>   |         |
| Tajemnica oceanu (2 ilustracje)   | 137—142 |
| Dział grafologa. Odpowiedzi   | 143—144 |
| Zuzanna w kąpiele (ilustracja Z. Jurkowskiego)                              | 145—146 |
| <i>Dr. M. J.:</i>   |         |
| Tonie! Tonie! (8 ilustracji)  | 147—154 |
| Świat naszych czytelników (4 ilustracje)                                    | 155—156 |
| Rozrywki umysłowe (5 ilustracji)  | 157—164 |
| Dział grafologa. Odpowiedzi   | 165—168 |

*Okladkę kolorową wykonał M. Choynowski*

---

Adres Redakcji i Administracji  
**„N A O K O Ł O Ś W I A T A”**  
 Warszawa, Zgoda 12, tel. 722-14  
 Telefon ekspedycji 704-32

Redaktor przyjmuje interesantów  
 w czasie letnich miesięcy w piątki  
 od godz. 18 do 19<sup>00</sup>

Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 15  
 Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi  
 6 zł. 50 gr., zagranicą 10 zł. 50 gr.  
 Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.



# NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 86

CZERWIEC 1931 R.



*Upał; słońce zapaliło wodę...*

*Fot. Ruon - Warszawa*

# Prehistoryczna gwiazdziarnia na Pomorzu

(nabytek liczący blisko 10.000 lat)

„Cudze chwalicie, swego nie znacie...”  
Czynię aluzję do tego starego, już przebrzmiałego przysłowia, poświęcając niniejszy artykuł rehabilitacji naszych praszczurów pomorskich, niesłusznie dotąd poświadczonych o barbarzyństwie.

Bo proszę. Małośmy się nacztyli o kamiennych zabytkach na Rugji, o „menhirs” druidów celtyckich w Carnao w Bretanii, o kolosie kamiennym w Baalbek, w niewytłumaczony sposób przeniesionym z kamieniołomów nubijskich do stóp świątyni słońca? Małośmy się nasłuchali twierdzeń, że gdy nasze praszczury w mrocznych krainach północnych trwały jeszcze w barbarzyństwie bytowania jaskiniowego, kapłani egipcjczy znali nie tylko naszą matematykę, astronomję i prawa kosmiczne, lecz że umieli je wyrażać w symbolach architektonicznych, że np. piramida Cheopsa wyraża w liczbach swoich wymiarów cały nasz system słoneczny, a wymiary kamiennej skrzyni, znajdującej się w komnacie królewskiej tej pira-

a umiejętność przenoszenia olbrzymich głazów również nie była obca prapomorzanom. Dowodem tego jest kamienna gwiazdziarnia w pobliżu wsi Odry koło Czerska, posiadająca podobno sędziwy wiek blisko 10.000 lat.

Dowiedziałem się o tym fenomenie w wydawnictwie „Taurus”, któremu poza tem zawdzięczam wyśmienity horoskop, sprawdzający się z frapującą wprost dokładnością.

Otóż w lesie koło Oder znalazłem dwa nacie koł z kamieni, z których każde ma inną średnicę, oraz szesnaście szluczných pagórków rozmaitej wysokości. Całość przedstawia olbrzymią gwiazdziarnię, świadczącą o zadziwiającej wiedzy astronomicznej prehistorycznych mędrców, którzy ją zbudowali.

System mierniczy, zastosowany przy jej budowie, jest następujący: 1 pręt składa się z 4 lasek, równających się 16 stopom, czyli 4,616 mtr., 1 stopa równa 28,85 cm., dzieli się na 4 szerokości ręki, szerokość ręki na 5 palców (ściśle na 5 szerokości palców). Miara łaski równa się tu 1,15 m. Z kon-



*Jedno z kół znaczonych  
kamieniami w lesie  
koło Oder*

nady, dają się wyrazić tak często w matematyce używaną liczbą „pi” (liczba ta, jak wiadomo, oznacza, ilekroć większy jest obwód koła od jego średnicy).

A przecież Pomorze posiada także swoją prehistoryczną liczbę „pi”,







*Fragmenty  
gwiazdziarni  
w lesie  
koło Oder*



rana, to wszystkie wizury zgadzają się kierunkiem z jasnymi gwiazdami dwunastu konstelacji zodiakowych. Wynika z tego, że zbudowanie gwiazdziarni w Odrach przypadło w czasie, kiedy zimowe przesilenie dnia z nocą znajdowało się pod zna-

strukeji kół kamiennych w Odrach wynika, że ich twórcom znana była ludolfina z dokładnością 40 miejsc dziesiętnych:

„pi” = 3,1415926535897932384636433832795028841971....

Układ zaś gwiazdziarni dowodzi, że znano już wówczas 12 znaków zwieryńca. Prapomorzanie rozpoczynali rok od zimowego przesilenia dnia z nocą. Czas liczyli na zimny. Owe koła z kamieni były zarazem kalendarzem słonecznym i służyły do obliczania zaćmień słońca i księżyca, tudzież do obliczania koniunkcji dużych planet. Rozpatrując system współrzędnych Oder, stwierdzamy, że punkt przecięcia linii wizurowych położony jest tam, gdzie linia wschodnio-zachodnia przecina wizurę w czasie zimowego przesilenia dnia z nocą. Jeśli się ten system wstawi w mapę nieba tak, że linia zimowego przesilenia dnia z nocą przechodzi przez gwiazdę delta w konstelacji Ba-

kiem Barana. Taki zaś wypadek zachodził w roku 7800 przed narodzeniem Chrystusa.

Sądzę, że nasze sfery naukowe powinny się zająć gruntownym zbadaniem zabytku w Odrach, a przede wszystkim zabezpieczyć jego resztki przed systematyczną zagładą przez eksploatację kamieni na cele budowy domów, murów, dróg i t. p.

Inne, praktyczniejsze od nas, narody byłyby gwiazdziarnię prapomorską oddawna zakatalogowały w prospektach firmy Thos Cook & Son i puściły ją w obieg na wszechświatowej giełdzie turystycznej. Lecz — okoliczność łagodząca — niedawno dopiero cieszymy się własną państwowością. Może Odry doczekają się jeszcze rangi Gizeh lub Luksoru, a poczeiwa Wisła zrobi konkurencję Nilowi! Jedno jest pewne: że przecudna okoliczna Szwajcaria Kaszubska zdoła stokrotnie wynagrodzić egzotyzm afrykańskich piasków pustynnych.

*A. Czarliński*



Napisał:

Ilustr.: A. G.

B. Szarlitt

**W**yrok wiedeńskiego sądu przysięgłych, skazującego Jaroslawa Sedlaczka za zamordowanie swej kochanki na śmierć przez powieszenie, stał się prawomocny. Cesarz bowiem wniesionej przez adwokata prośby o ulaskawienie nie uwzględnił. Kiedy dyrektor więzienia zjawił się w celi skazańca, by mu oznajmić, iż nazajutrz będzie oddany w ręce kata, zaznaczył, iż wedle ustawy przysługuje mu prawo do t. zw. „ostatniej uczty”, której „dania” może sam sobie wybrać. Wiadomość o straceniu Sedlaczek przyjął z nadzwyczajnym spokojem. Na zapytanie zaś dyrektora co do „uczty” oświadczył z uśmiechem, iż prosi o — smażoną rybę, flaszkę węgierskiego wina i kilka długich cygar „ze słomką”, t. zw. „Virginia”. Przrzekłszy, iż prośbie jego stanie się zadość, dyrektor wyszedł z celi.

Gdy zapadł wieczór, zjawił się ksiądz. Sedlaczek przyjął go z pokorą, a po spowiedzi rozłożył się na tapczanie, wyczekując „uczty”. Nie myślał w tej chwili wcale o swej tak bliskiej śmierci, lecz w duchu rozkoszował się zamówionymi przez siebie

„specjałami”. Szczególnie cieszył się ze smażonej ryby, bo była to najulubieńsza jego potrawa, na którą przez całe życie swoje rzadko tylko mógł sobie pozwolić. Próbował w tej chwili przywieść sobie na pamięć, kiedy ją spożywał po raz ostatni. Okazało się, że było to jeszcze, gdy służył w wojsku. Zaprzyjaźniony z nim kucharz kasyna oficerskiego kazał mu raz w wigilię Bożego Narodzenia przyjść, by pomagał myć talerze i jako wynagrodzenie dał mu wspaniałe smażoną rybę. Jeszcze teraz pamiętał dobrze jej cudowny smak, i na myśl, że niebawem będzie się mógł podobnie delektować, uczuł prawdziwą rozkosz.

To samo uczucie budziło się w nim, gdy myślał o cygarach. Specyficzna woń ich dymu stawała mu tak żywo w wyobraźni, że miał chwilami złudzenie, iż ją naprawdę już czuje. Im dłużej zaś oddychał się tym błogim halucynacjom, tem dziwniejszą wydawała mu się cała jego sytuacja. Oto musiał popełnić morderstwo i być skazanym na szubienicę, ażeby bodaj raz móc sobie tak użyć, jak tysiące ludzi przez całe swoje życie!



Dlaczego ten świat był tak cudacznie urządzony, że jedni mieli wszystkiego w bród, a drugim zawsze źle się wiodło? Jak daleko sięgała pamięć Sedlaczka nie mógł odnaleźć bodaj jednego roku, w którymby mu się życie naprawdę uśmiechnęło. Od dzieciństwa musiał borykać się ze skrajną nędzą. Jeszcze najlepiej działa mu się przez trzy lata służby wojskowej. Brał ciągle po głbie, ale miał zawsze co jeść i palić, miał czystą bieliznę i całe buty. To też kiedy opuścił koszary czuł się jakby wygnany z raju. W milionowej stolicy wydawał się sobie przez długi czas jak błędna owca. Dzięki rodakom udało mu się jednak nareszcie znaleźć pracę przy budowie domu. Od pierwszego dnia zaś zakochał się w pięknej jak jagódka i zawsze we-

sołej Marjance, która razem z nim podawała cegły...

Och, Marjanka! Kochał ją z całej duszy, była mu naprawdę wszystkim na świecie. Przy niej ciężkie życie wydawało mu się znośniejsze, jej wesołość udzielała się i jemu. Klepali, bo klepali biedę, zwłaszcza zimą, gdy pracy zabrakło. Ale razem jakoś mniej ją odczuwali. Aż tu nagle wszystko się zmieniło, bo spodobał jej się ten Wiskoczil, tęgi dryblas, który pracował w masarni. Oczywiście, że był to w porównaniu z nim prawdziwy magnat, zwłaszcza w niedzielę, gdy wdziawał na głowę — cylinder. Ujrzał go Sedlaczek po raz pierwszy pewnej niedzieli popołudniu w „tancbudzie, Swobody” w Praterze, gdzie za opłatą 20 halerzy wstępu można było sobie pohulać. Marjanka wpadła temu drabowi zaraz w oko i poprosił ją do tańca. Nie odstępował jej już później przez całe popołudnie. Ona też zaznajomiła ich obu, a Wiskoczil zaprosił wieczorem ją i jego na — gulasz i piwo. Tak to rozpoczęła się tragedia, która tu w tej celi znalazła swój finał.

Marjanka od owej niedzieli w Praterze zniknęła coraz częściej na całe wieczory, mając zawsze jakąś wymówkę. Kiedy robił jej wyrzuty, ona śmiejąc się serdecznie, tak jak tylko ona śmiać się umiała, zapewniała go, iż nie ma powodu do zazdrości. Dopiero gdy pewnego dnia koledzy jego przy budowie poczęli drwić zeń otwarcie, iż nie widzi, co się dzieje z jego Marjanką i Wiskoczilem, krew w nim zakipiała. W obecności wszystkich zapytał Marjanke, czy to prawda, co o niej mówią. I wtedy to stało się nieszczęście. Ona bowiem rzuciła mu urągliwie w twarz, iż woli, oczywiście, Wiskoczila, niż takiego jak on — dziada... Uczuł w tej chwili w sercu straszliwy ból i nie wiedząc sam, co czyni, podniósł cegłę i uderzył nią z całej siły Marjanke w głowę. Dziewczyna upadła iakby piorunem rażona na ziemię i okaza-



*Gdy zapadł wieczór, zjawił się ksiądz...*



Oczywiście, że był to w porównaniu z nim prawdziwy magnat..

to się, że nie żyje. Na widok tego, co się stało, odchodził po prostu od zmysłów, bo mimo wszystko nie przestał jej kochać. A i teraz w celi myślał o niej z tą samą czułością, co dawniej i powtarzał sobie, że słusznie należy mu się śmierć za jej krew. Na dnie duszy radował się, iż wkrótce będzie już na zawsze przy niej, gdy Wiskoczil zostanie jeszcze na tym świecie...

Z tych rozmyślań wyrwało go otworzenie drzwi celi, do której weszli dozorczy. Przyniesli oni mały, nakryty obrusem w czerwone paski stolik, na którym stały dwa mosiężne lichtarze ze świecami oraz półmisek ze smażoną rybą i flaszka wina. Zapach ryby polectał już zdala mile podniebienie Sedlaczka, który zerwawszy się z tapczana, powitał dozorców, prosząc by zechcieli mu

towarzyszyć przy tej jego ostatniej uczcie. Jeden z nich, sięgnąwszy do kieszeni, wyciągnął z niej cztery długie cygara ze słomką i wręczył je z uśmiechem Sedlaczkowi. Po chwili siedzieli już we trójkę w ten sposób, że Sedlaczek zajął miejsce na jednym w celi stołku, zaś oni na swej ławeczce, którą przynieśli sobie z kurytarza.

Skazaniec poczęstował ich najpierw cygarami, odłożywszy dla siebie dwa, zaznaczając ze smutnym uśmiechem, iż to „drugie” jest na jutro rano przed „paradą”. Z prawdziwą rozkoszą Sedlaczek zabrał się do spożycia ryby. Nalawszy sobie szklaneczkę wina, zaprosił dozorców, by się również napili. Rozmawiali przytem ze sobą jak dawni przyjaciele. „Szkoda cię, Sedlaczek” — odezwał się w pewnym momencie jeden z dozorców, „boś poczciwy chłop”! Drugi zaś dodał: „I pomyśleć, że to wszystko przez jakąś głupią dziewczkę!” — „Moja kochana Marjanka nie była głupia”! zaprotestował żywo Sedlaczek. „Niemna dużo takich dziewcząt na tym świecie”... „Jakto?” zawołał ze zdziwieniem jeden z dozorców, „to ty bronisz jeszcze jej, przez którą dostałeś się na szubienicę?” — „Ona niewinna”, odparł z przekonaniem Sedlaczek, „to wszystko jest dziełem tego dra-ba Wiskoczila, który mi ją omamił”...

Wyrzekłszy te słowa, nagle — zakrzuszył się. „Co ci jest?” — zawołali obaj dozorczy. Ale Sedlaczek nie mógł już dać odpowiedzi, tylko czerwieniąc się coraz bardziej na twarzy, wskazywał palcem na gardło. „Ha — polknął zapewne — ość”! krzyknął przerażony jeden z dozorców. I zerwawszy się z ławki podskoczył do Sedlaczka i począł z całej siły walić go w kark. Nic to jednak nie pomogło, gdyż Sedlaczek dusił się coraz bardziej. Strach ogarnął dozorców, i jeden z nich wybiegł, by zawiadomić dyrektora więzienia.

Po chwili zrobił się w całym gmachu wielki popłoch. Przybiegł zdy-



szany dyrektor z lekarzem więziennym i siostrą miłosierdzia. Twarz Sedlaczka tymczasem stawała się już sina. Rozłożono go na łapczanie, a lekarz starał się wydobyć ość z jego gardła. Zabiegi okazały się jednak daremne i zrozpaczony lekarz zawołał do dyrektora, iż trzeba koniecznie wezwać natychmiast chirurga, gdyż on sam rady sobie dać nie może. Dygocąc jak w febrze, dyrektor oświadczył, iż musi najpierw zawiadomić o wypadku prokuratora i sędziego i zapytać co właściwie ma począć ze skazańcem. Sedlaczek zaś rzucał się na łapczanie jak opętany i z gardła jego wydostawały się rozpaczliwe jęki.

Po pewnym czasie w celi zjawiała się już pełna komisja sądowa, wprowadzona przez dyrektora więzienia, który z trudem tylko mógł utrzymać

się na nogach. „Ładna historia!” — mruknął prokurator, otyły jegomość o czerwonej jak piwonja twarzy, świadczącej, iż bynajmniej nie należał do abstynentów. „Musimy go za wszelką cenę ratować, bo inaczej sprawiedliwości nie stanie się zażość!” „Panu zaś” — zwrócił się do nawpoł żywego dyrektora, — wyłoczę dochodzenie dyscyplinarne! Jakże mógł pan zgodzić się na podanie skazańcowi — r y b y ? Czy nie zastanowił się pan, że to niebezpieczna potrawa?”

„Życzenie skazańca” — wykrzusił z trudem dyrektor „musi w myśl ustawy być spełnione”....

„Tak, tak” — odparł z groźną miną prokurator, „ale ustawa winna być rozumnie interpretowana”!

Nadszedł tymczasem telefonicznie wezwany profesor chirurgji i wyjąwszy swoje instrumenta, począł jeden po drugim zatapiać w gardło biednego Sedlaczka, z którego już coraz słabsze wydobywały się jęki. Ości jednak i profesor wydobyć nie mógł. Komisję sądową ogarnęła czarna rozpacz. Prokurator zawyrokował, iż należy obudzić sa-

*...i nie wiedząc sam  
co czyni, podniósł  
cegłę...*



me go prezesa by zasięgnąć jego światłej rady w tym niebywałym wypadku. Północ bowiem już dawno minęła, a stracenie Sedlaczka wyznaczone było na godzinę czwartą zrana.

„Panie profesorze!” — zaklinał prokurator uczonego, użyj pan całej swej wiedzy i ratuj nas w tej potwornej sytuacji! Czy nie zdaje pan sobie sprawy o co tu chodzi? Skazaniec musi być oddany w ręce — kata! Tego wymaga procedura karna, paragraf 197, lit. b., punkt 3. On nie może nam teraz — umrzeć!”...

„Wątpię” — odrzekł spokojnie profesor, czy — agonja, która u delikwenta już się rozpoczęła, zechce

uwzględnić zacytowany przez pana prokuratora paragraf”....

W tej chwili wszedł do celi zaspany prezes sądu w płaszczu z nastawionym do góry kołnierzem, z pod którego widać było nocną koszulę. Wszyscy wyprostowali się jak struny i z zapartym oddechem wyczekiwali jego przemówienia.

„Zarządzam” — odezwał się piskliwym głosem prezes — „natychmiast wykonanie egzekucji. Należy wezwać kata! Prawu musi za wszelką cenę stać się zadość!...”

„Będzie to jednak niemożliwe, panie prezesie” — odezwał się pochylony nad Sedlaczkiem profesor”. Delikwent bowiem w tej właśnie chwili — wyzionął ducha”....

## Podpatrzone



Wiosenne manewry policji



# Paryż naukos

Przyzwyczailiśmy się do banalnego Paryża.

Napamięć znany z kart pocztowych, litografij w poczekalniach i z roczników pism ilustrowanych, porywa „perspektywami, rozmachem, wdziękiem”. Na karcie pocztowej z okazji wycieczki do Paryża pisze się do kraju: „Jestem szalenie zmęczony zwiedzaniem, Paryż jest cudowne miasto, reszlę popołutrze, po powrocie, w domu”. A po powrocie, w domu pokazuje się te same pocztówki, wywołuje się zdjęcia, których temat i ujęcie można przewidzieć, jeżeli chodzi o turystów, na trzy lata naprzód i powtarza się znowu zachwyty podniosłe, że cudowny, wspaniały, że niema jak Paryż, czyli innemi słowy to wszystko, co nie widząc Paryża, przy zaoszczędzeniu sobie tak podróży, jak i pobytu, można powiedzieć o nim już w Warszawie, zaraz po urodzeniu.

Nauczyliśmy się patrzeć z narzuconych punktów w perspektywy, widzieć rzeczy, które każą widzieć przewodnicy, płatni od ilości wydarzeń historycznych na danym miejscu i płynniej znający dzieje kamieni i ludzi, którzy je zamieszkiwali, niżli ci sami ludzie, gdyby im się chciało wstać z przeszłości i oprowadzać turystów. Zdani na pomysłowość i fantazje biur podróży, mają nieszczęśliwi podróżni złudzenie, że po zwiedzeniu wszystkich kościołów, pięciu muzeów i pięćdziesięciu innych osobliwości, co wszystko zamyka się sumą trzech do siedmiu dni i dużą ilością franków, poznali *serce świata* i pełni wewnętrzznego triumfu, nie licząc nowej nalepki na kuftrze, a w kuftrze pamiątek z Paryża, wracają błogo znużeni i trochę smutni, że im nie dano dłużej kosztować tego życia, przeświellonego ze wszystkich stron i przypudrowanego, niby powietrze paryskie, zawsze błękitnym pyłem (niewiadomo — od benzyny czy od nieba).

Są tacy, na których Paryż działa „historycznie”. Każda ulica przypomina szczegóły z wielkich wydarzeń i z życia wielkich ludzi, czasem tylko powieści Balzaka, a czasem nawet dzieła literatów polskich, na znak, że wszyscy w nim są i niejako z niego (t. j. z Paryża). Każda nazwa nastraja ekliwio i wzniosłe do wzruszeń, zgóry i według pla-



...Przekreślony wieżą Eiffel, nakrapiany ludźmi...

nu dostarczanych w małych dawkach, aby starczyło jeszcze i na grób Napoleona i na apaszów przy placu Bastille.

Patrzy się zresztą i przeżywa ten Paryż z poddaniem, bez sprzeciwu, bez próby secesji, z prądem, aby nie obrazić tradycji, bo w pewnych kołach toby się mogło nazywać barbarzyństwem, a w pewnych salonach cynizmem.

Czyliż nie jest cynizmem wyobrazić sobie kolumnadę Izby Deputowanych przy Placu Zgody pomalowaną w kratkę?

Ale niema obawy. Wieży Eiffla, oglądanej codziennie, nikt sobie dogóry nogami nie wyobrazi. Efekty ponadprzeciętne wymykają się ogarnięciu ludzi przeciętnych. Chociaż nikogo już nie bawi, że dwie linje równoległe spotykają się w odległym punkcie zawsze tak samo, to jednak w życie codzienne miast i rzeczy zbyt niewygodnie wnikać, skoro wystarczy raz widok odświętny z Łuku Triumfalnego na Luwr i z Luwru na Łuk Triumfalny, żeby było sprawiedliwie.

I na to niema rady. Ale jest czasem sposób przekonywający. Przymrużyć oczy, zapomnieć o wszystkim, co piszą przewodniki i mówią turyści i spojrzeć samemu na krzyż i wpoprzek, zdołu i naukos...

Wyciąć skrawki niepodobne do żadnego ze znanych przedstawień i próbę uczynić, czy podpatrzenia nieumyślne, nieoczekiwane żyją sensem i znaczeniem swoim? Wynik spojrzeń odczytany mądrze czyli daje nową treść? Prawdziwszą?

Objektywizuje się w świetle tych podejść rzeczywistość. Odbarwiona od uczuć i nastawień, z tej czy z tamtej strony ujęta, poprawnie czy zgola krzywo, i w krzyżującej niezgodzie z prawidłami proporcji i sensu, rysuje przecież swój wymowny kształt — mówi.

Może więc czarno-biały refleks obiektywu powie swoje wrażenie?... Zgadza się lśniącym uśmiechem. Surowy i obojętny, ale gotów.

On to izoluje spojrzenia. W kwadraty, w prostokąty ram nieubłaganych zamyka rzut oka obcy, dysponujący krótko szereg



*To przeprawiasz się ty i ja i on,  
i tamten obcy...*



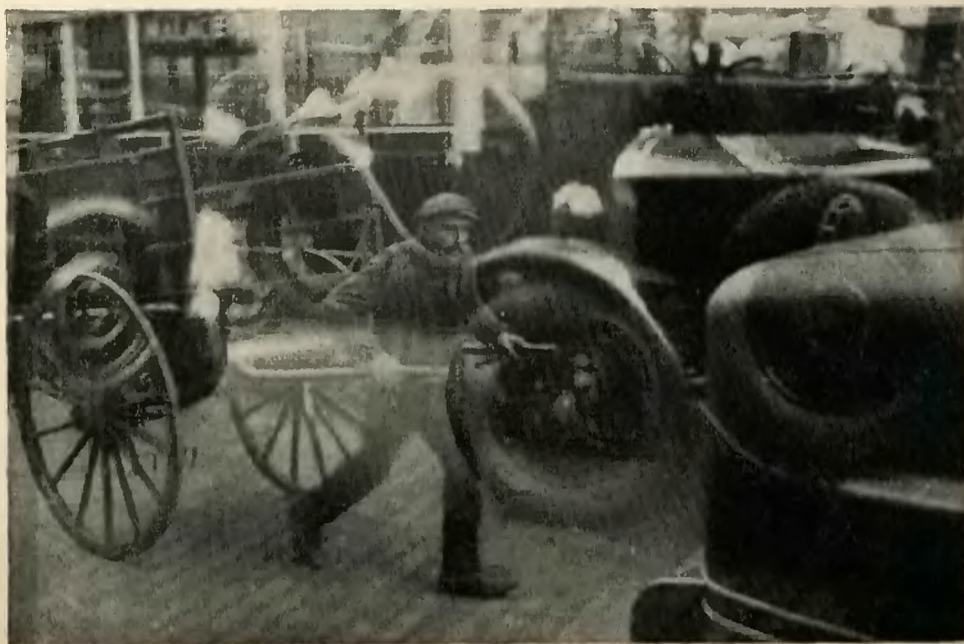
odrębnych nastawień, jedno po drugim. Eksperymentem się nagle zanieci przed nami jasna poprawność założeń. Architektura, urbanizm, prawidła równowagi ludzi i kamieni koziołki przez siebie machną w kwadracie o równych ramach. Miasto zostanie. Paryż w nich jest. Głębszy i żywszy, niż w jakimkolwiek obrazie. Przesycony człowiekiem, myślą i pogonią. Przekreślony wieżą Eiffel, nakrapiany ludźmi, pstry i pełny. Oparem tłum się zaznacza wzdłuż ścian monumentu. Tłum wieczysty, tłum dziejów i współczesności, ten sam. Na rusztowaniach, w warsztatach odzywa się twarda pięść woli. Kominy szumią pracą, narastają nad niebem stolicy kolumnadą ważniejszą i większą, niż zastygłość i zalotność ozdób i obramień, niepokalanych w klasycznej równowadze kształtu. Kolumnada kominów kwitnie pióropuszcami dymu prosto w niebo, nad niebo paryskie. Kolumny ożyły nagle, ulice rozrosły się w przestrzeń, człowiek pędzi po nich, gnany prawdą dnia dzisiejszego i jutra. Gdzie się podziały płaskie lśnienia

*Rytm szyn, melodia linii i pulsowanie kształtu...*





*Architektura, urbanizm, prawidła równowagi ludzi i kamieni  
koziółka przez siebie machną*



*Czy podpatrzenia nieumyślne, nieoczekiwane żyją sensem i znaczeniem swoim...*

i ramy złożone powtórzeń, plagjały rzeczy-wistości? Tracą wartość w prostem porównaniu. Udał się eksperyment. Odżył Paryż w spojrzeniu naukos. Pajęczą siecią drutu pokrywa zgmatwanie ulic, wiąże je z sobą wszystkie w całość, w jedno życie, nic się nie wymknie ogarnieniu dali.

Drobne oddechy, wtłoczone pompą po-  
śpiechu w wąskie gardziele przejść, w cze-  
luscie bram i podwórzy, zmiecione tchnie-  
niem miasta z jego powierzchni gładkiej  
i zdradzieckiej, odezwa się krzykiem moc-  
nym a milczącym w kontrastach zdjęcia.  
Rytm szyn, melodia linii i pulsowanie kształ-  
tu wiecznie zmiennego, który był zastygł  
w krótkowidzących oczach, tłumaczy się  
dziś wyraźnie. Zwarły obraz wielkie słowa  
przełożył na język potoczny i prosty, do-  
stępny i zrozumiały, bez nazw — język rze-  
czy. Wizjami odłąd się mówi, spotkań i ze-

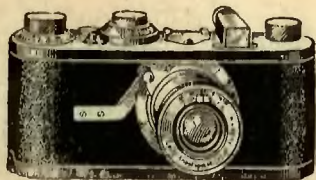
stawień, spojrzeń i myśli, tej myśli, którą  
zatrzymawszy wycięło wzrokiem, niby wy-  
mierny ornament.

A poprzez mrowie, poprzez wymowę moc-  
ną i ostrą, wyraźną a przecież wiotką, los  
i ludzie wskroś się przeniknęli. Podziemne  
życie stolicy światła wyłoczyło się nagle  
prawdziwe, wcieleniem niedostrzeżonem dla  
obcych, najprawdziwszem i jedynie wier-  
nem.

Zasię w płynności obrazu, przez wciąż  
ruchomy łańcuch pogoni i poszukiwań, cią-  
głego wymijania, naprzelaj, przebiwszy su-  
rowość kształtu, życia i szarość rzeczy, wy-  
łoni się na ostateku wizja znamienna i bli-  
ska. To przeprawiasz się ty i ja, i on, i tam-  
ten obcy, niepostrzeżony, zawsze sam i co-  
raz dalej w nieuniknioną, w bezdenną za-  
mroczyć każdego Paryża idący człowiek.

*Aleksander Janta-Połczyński*

*(Pięć zdjęć Moi Vera z albumu „Paris”.  
Edition Jeanne Walter — 1931)*



*Leica*

Miniaturowy nowoczesny aparat foto-  
graficzny o niedoścignionej precyzji.

W podróży, przy uprawianiu sportów, myślistwa, w pra-  
cowni naukowej, na budowlu, lub w hali maszyn, przy  
niepomysłnem świetle, przy trudnych warunkach atmosf-  
rycznych, **zawsze** gdy od aparatu żąda się najwięcej

*należy używać kamerę Leica*

a wtedy nie dozna się zawodu.

Szczegółowe prospekty bezpłatnie.

**ERNST LEITZ, Zakłady Optyczne, Wetzlar**

Jen. Repr. WARSZAWA, CHMIELNA 47a 5.





fot. Photo-Plat, Warszawa

*Na kanałach Polesia*

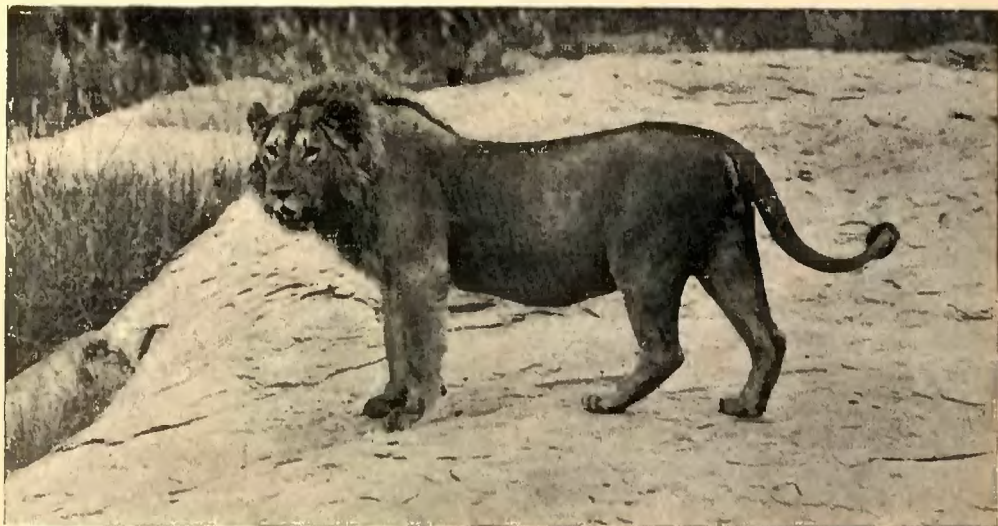


*Marja Górczyńska*

fot. Dorys, Warszawa

*Signora*





Presse Photo

# Samochodem na lwa

Napisał:

Stanisław Mycielski

Poniższy artykuł jest fragmentem większej pracy, obecnie przygotowywanej do druku w wydaniu książkowym. Autor, Stanisław hr. Mycielski, w ten sposób mówi o swej ciekawej podróży w kraje podzwrotnikowe: „Moja wyprawa miała za cel dotarcie do mało jeszcze znanego kraju w Afryce podzwrotnikowej „Barotseeland”. Kraj ten jest częścią Północnej Rodezji (kolonia angielska). Jest to wielki rezerwat, niewiele mniejszy od Polski, dla szczytu murzyńskiego Bantu. Biali, pragnący tam przebywać, muszą na to uzyskać specjalne pozwolenie zarówno od władz angielskich, jak i od murzyńskiego króla Barotseeland'u. Nie wolno jednak białym osiedlać się w tym kraju. Kraj ten położony jest o kilkaset kilometrów na zachód od Livingstone, graniczy ze wschodnią częścią południowej Angoli, od północy z Kongiem Belg., od zachodu z Rodezją, a od południa z wielką, dotychczas prawie niezbadaną pustynią Kalahari.

Wyjechałem z Kapsztadu przez Kimberley (złóża diamentowe), Johannesburg (pokłady złota), dalej przez Pretorię, stolicę Związku Afryki Południowej, przez Bulawayo, przebywając rzekę Limpopo już poza granicą Związku, oraz przez Mafeking do Livingstone. Livingstone — to ostatni punkt cywilizacji. Stamtąd dotarłem samochodem ciężarowym do wioski Mambowe nad rzeką Zambezem, skąd prywatną łodzią motorową, płynąc cztery dni w górę rzeki, przybyłem do Seszek (Seshek) i do katarakty Katima Malilo. Z tej miejscowości zaczęła się prawdziwa ekspedycja, specjalnie samochodami, już przez dżungle, w stronę Angoli i Konga Belg.

Teren, na którym odbywało się opisywane polowanie, można określić w ten sposób: Około 700 km. na zachód od Livingstone i od wodospadów Victoria Falls, około 100 kln. od wschodniej granicy Południowej Angoli i Północnego Konga Belg.

Późną nocą zrywam się z łóżka, obudzony wrzaskami „taui, taui” (lew). Ten sam rozgardjasz, co zeszłej nocy. Cały namiot trzęsie się nade mną, gdyż koń, przywiązany obok mego namiotu, wyprawia niebывале skoki. Tym razem czuję, że sprawa poważna, i że lew jest wpobliżu. Szukam lampki, znikła jak kamfora, rewolwer też się gdzieś zapodział. Obóz cały jakby oszalał: wyraźnie o kilka kroków od mego namiotu słyszę pomruk lwa. Przyznać muszę, że choć nie jestem tchórzem, zimno mi się robi. Namiot z jednej strony otwarty, ciem-

ności zupełne, a najgorsze, że niewiadomo jakie zamiary ma nasz nocny gość. Głosy murzyńskie, z początku ziemskie, w mgnieniu oka zmieniają się na niebiańskie, gdyż dochodzą mnie już z wyżyn. Biedne konie jak oszalałe. Oby tylko się nie urwały, bo gdyby się o krok oddaliły od obozu, to w tej chwili padłyby pastwą lwów. Nareszcie udaje mi się znaleźć lampkę, chwytam za strzelbę i wybiegam przed namiot. Słyszę spokojny głos Blake'a, który mnie prosi, bym się nie ruszał, gdyż lwy przywarły o kilka kroków w trawach, dziwnie



*Linja kropkowana ze strzałkami wskazuje drogę przehytą przez autora artykułu*

jakieś złe i napewno głodne. Sam przybliży się do mnie. Ma w ręku strzelbę i na czole specjalną lampę elektryczną. Używa tego światła do nocnego strzelania. Krótka narada przed namiotem. Lwy są ciągle bardzo blisko. Sytuacja robi się napięta. Blake zaczyna się niecierpliwie. Świecąc ciągle lampą, z gotową strzelbą do strzału, wypatruje w wysokich trawach możliwości strzału. Lecz trawy wysokie, lwy (było ich dwoje) ciągle krążą naokoło obozu. Odczuwamy raczej niż widzimy każde ich poruszenie. Najlepiej orientują nas zwierzęta, które swym zachowaniem okazują zbliżanie się

lwa. W pewnej chwili słyszymy wyraźnie pomruk lwa, i to tak blisko, że zimno się robi. Ze strzelbami gotowymi do strzału, w szalonym napięciu, oczekujemy ukazania się cudownego zwierza. Sytuacja naprawdę robi się naprężona. Mimo krzyków, świateł, lwy ciągle dokoła nas krążą. Chyba noc całą ze strzelbami gotowymi do odparcia ewentualnego napadu, czekać będziemy musieli. Nawet Blake zaczyna się denerwować. Nagle wyraźnie w kręgu świetlnym widzę falującą trawę, i to nie dalej, jak o dwadzieścia kroków. I oto jestem świadkiem wprost niesamowitej odwagi. Blake poleca mi, bym krokiem się nie ruszał z obozu, sam zdecydowanie wchodzi w trawę i niknie mi z oczu. Za chwilę słyszę dwa szybko po sobie następujące strzały, po dziesięciu minutach znowu strzał. Emocję mam szaloną. Musiał natknąć się à bout portant na lwy. W nocy, w wysokich trawach, spotkanie z królem zwierząt, i to z atakującym, nie może być zaliczone do bezpiecznych. To też z radością słyszę nowe 2 strzały, ale już daleko od obozu. Po półgodzinie wraca, zupełnie wyczerpany nerwowo; opowiada, że zaraz po wejściu w trawę, 2 lwy naokoło niego o kilka kroków krążyły. Były tak blisko, że wyraźnie słyszał szelest traw tuż obok siebie. Nie mógł widzieć ruchu traw, gdyż te były wyższe od niego. Strzelił, gdy te miłe kotki zabliżsko niego się kręciły, naturalnie orientując się tylko po odgłosie zwierząt. Była jedna chwila bardzo nieprzyjemna, i to zaraz po wejściu w trawę. Lwy, mocno niezadowo-



*Typowa dżungla  
cierniasta, kraina  
kudu i anotyropy  
szablowej.  
W tych to  
gęstozach lwy  
i pantery  
chronią się  
przed upałami*



*W wysokich  
[ trawach nad  
Zambazem.  
Samochodu  
prawie nie  
widać*



*Nadanie  
śladów  
w stepie*

lone, że jakiś śmiałek śmie im przeszkadzać w nocnych poczynaniach, od razu mocno go zaatakowały. Do jednego strzelał najdalej na 5 kroków. Kręcił się w kółko, by światłem ich odstraszyć. Wyobrażam sobie to mile położenie i to szalone ryzyko: niechby tylko lampka się zepsuła, jestem przekonany, że lwy, i tak już wściekłe, rzuciłyby się na niego natychmiast i rozerwałyby go w strzępy. Z punktu widzenia myśliwskiego był to rzadki i ciekawy fakt, by lwy atakowały tak odważnie duży obóz.

Miejscowi murzyni opowiadali, że od kilku tygodni w tej okolicy pojawiła się para olbrzymich lwów. Samiec wyjątkowo duży, czarnogrzywy i niebywale odważny, nie bojący się wcale ludzi. W okolicy twierdzili, że to sławny lew, który nieraz jadał ludzkie mięso i raz w nim zasmakowawszy — przekłada je ponad wszystkie inne. Stąd

nazwa tych lwów Men Eater. Faktem było, że podczas mego pobytu w tej okolicy lwy zjadły trzech murzynów, i to z pobliskiej małej wsi. W nocy najspokojniej wchodziła para do wioski i wyciągała swe ofiary prosto z chat. Dziwnym zbiegiem okoliczności porwały 3 stare murzynki, więc, mimo szalonego strachu całej wsi, żaloba nie była zbyt poważna. Jestem przekonany, że to te same lwy, co nas odwiedzały, były sprawcami popłochu całej okolicy.

Długo jeszcze tej nocy komentowaliśmy przeżyte emocje, dla pewności obchodząc bardziej oddalone zagrody, lecz bydlę i konie, a co najważniejsza — osły były już zupełnie spokojne, więc widocznie lwy po otrzymanej nauczce odeszły daleko.

Nazajutrz przed wieczorem mamy wyruszyć samochodem, chcąc upolować Wildesta na przynętę. Mój towarzysz ma pro-



wadzić samochód, pani B. bierze aparat fotograficzny, a ja strzelbę. Jeszcze w Kap-sztadzie jeden z moich znajomych prosił mnie, bym wziął z sobą jego nową strzelbę dla wypróbowania; był to Manlicher 9 mm, z lunetą. Bardzo ładnie i składnie wyglądał. Sądziłem, że jeszcze jedna strzelba kulowa bardzo może mi się przydać w razie, gdyby coś się stało. To też tego dnia, mając strzelać do najpospolitszej zwierzyny, jaką jest Wildebest, zostawiam mego starego Mausera i biorę pożyczonego Manlichera. Jakże gorzko musiałem żałować niebawem swej decyzji. Po kilku minutach jazdy stępem spotykamy olbrzymie stado Wildebestów. Zaczynamy je objeżdżać i wolno pędzić w stronę, gdzie B. widział rano lwa, to jest w stronę lasku, oddalonego jeszcze o dobre 2 km. Manewr dobrze nam się udaje i po kwadransie automobilowej naganki Wildebesty zatrzymują się nieda-

leko lasu. Wysokie trawy brzegiem lasu pozwalają mi na łatwe podejście. To też w kilka chwil bez trudu podchodzę całe stado, a było w niem ze 100 sztuk w odległości najwyżej 100 kroków. Mam przed sobą kopiec termitów, który mnie zakrywa, a do tego dobre oparcie. Chwilkę obserwuję stado, przez lornetkę wybieram największą sztukę i spokojnie z oparciem strzelam. Dziwnie mnie jakoś podczas strzału szarpnęło, a stado skłębiło się raptownie. Strzelana sztuka ani drgnęła. Repetuję, mierzę z całą precyzją, drugi strzał nie robi też większego efektu. Strzelam z tego miejsca pięć razy bez skutku. Zaczynam się wściekać. Nabijam pełny magazyn, przez ten czas stado oddaliło się zupełnie spokojnie o kilkaset metrów. Bez trudności udaje mi się je podejść jeszcze bliżej. Przez ten czas mój towarzysz podszedł do mnie, i widzę z miny, że nie bardzo jest mojem strzela-



*Niepodziewane  
spotkanie  
w stepie.  
Kobiety  
należą do  
szczepu Bantu*

*Typowy widok  
roślinności  
na płasko-  
wzgórzu  
Barotseland'u*







*Nasz obóz w Anguesi. Z tyłu widać namioty. Na przednim planie nasz samochód, wystawiony umyślnie, aby w razie powrotnego napadu lwa, móc oświetlić przestrzeń reflektorami*

*O wschodzie słońca w naszym obozie*

niem zbudowany. Tłumaczę mu cicho, że to nowa strzelba i że w tem pudłowaniu absolutnie nie moja wina. Uśmiechem raczej ironicznym przyjmuje do wiadomości moje tłumaczenie. Radzi, bym sztuki nie wybierał, tylko wypalił w środek. Nie chodzi o żaden wyczyn myśliwski, tylko musimy mieć w tem miejscu przynętę. Nie dalej niż o 80 kroków zbita w jedną masę stoi część stada, złożona przynajmniej z 40 sztuk. Mimo odgłosów samochodu, zwierzęta wszystkie patrzą w stronę lasu. Nie namyślając się dużo, strzelam w sam środek stada. Znowu pudło — a cel jak chałupa. Strzelam jeszcze 4 razy. Po ostatnim strzale nagle zwierzęta porwane jakby szaleńcem przebiegają obok nas w tumanie kurzu. Strzelam jeszcze raz w pędzie na bardzo bliski dystans i też bez większego efektu. Zaczynamy kłąć: ja w mowie ojczystej, mój towarzysz po holendersku i angielsku naprzemian. Za chwilę będzie ciemno; idziemy zobaczyć, czy przypadkiem nie ma farby. Mr. Blake twierdzi, że wyraźnie słyszał, jak kule gwizdały gdzieś wysoko nad lasem; żałuje niezmiernie, że nie strzelał, ale był tak przekonany, iż na taki dystans muszę trafić, że zostawił swój sztucer w samochodzie. Miał jednak wrażenie, że po piątym czy szóstym strzale jedna sztuka weszła w las trochę kulejąc. Dla pewności idziemy śladem, mając nadzieję zobaczyć farbę. Nabijam strzelbę. Widzę z rozpaczą, że po całej kanonadzie zostały mi tylko 2 naboje. Farby ani Wildebesta nie znajdujemy, idziemy jeszcze w głąb lasu, aż tu



nagle mój towarzysz staje jak wryty, rzuca się na ziemię i zaczyna ją dokładnie badać. Po chwili wstaje i pokazuje mi zupełnie świeże i ciepłe jeszcze legowisko lwa. Widocznie moja strzelanina wypłoszyła go z legowiska, i to nie dawniej, niż kilka minut temu. Robi mi się głupio: mam strzelbę, z której muszę chybić do słonia

o kilka kroków, i 2 naboje. A lew może być tuż. Wolno wracamy do samochodu. Zdała widzimy samochód i postać pani Blake, stojącej na platformie. Przyspieszamy kroku i za chwilę jestem świadkiem niezmiernie ciekawego faktu telepatji. Pani B. co rok towarzyszy mężowi w jego nader ryzykownych wyprawach. Była świad-

strzeląca, nie chciała wziąć strzelby do ręki. Chciała zapuścić motor. Starter był jednak zepsuty. Doznała dziwnego wrażenia: wyraźnie odczuwała bliskość zwierza. Sama przyznaje się, że miała uczucie nader przykre. Stojąc na wozie, lornetką zaczęła lustrować okolicę i mimo, że nic nie spostrzegła, uczucie wielkiego niebezpieczeń-



*Autor przed  
szalasem  
w obozie  
nad  
Zambezem  
w Katima  
Malilo*



*Kucharz  
i  
służący*

kiem przeróżnych szarż stoni i lwów. Nie raz sama znajdowała się w niebezpieczeństwie z wyjątkowo zimną krwią i bez nerwów. Sam B. przyznaje, że jej odwaga nawet w najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych chwilach jest niesamowita. To też dziwnie nam się wydało, że pani B. teraz była mocno poruszona i zdenerwowana. Opowiada, że po strzałach miała przeczucie, iż lew jest blisko niej. Sama nigdy nie

siwa nie opuszczało jej aż do chwili naszego nadejścia. Opowiadamy o spotkaniu legowiska i o niefortunnych strzałach. Mocno speszony siadam na aucie i jedziemy wolno w kierunku obozu. Nie ujechaliśmy może więcej niż 300 metrów, gdy Blake nagle zatrzymuje samochód, chwytą za lornetkę i wpatruje się w mały żółty punkcik, widniejący na horyzoncie. Nie może rozpoznać, gdyż jest już mocno ciemnowo, kie-





*Stary ogier  
zebry*

*Jedna z najmniej znanych antylop kudu  
żyjąca w wielkich ciemnych gąszczach*



ruje wóz prosto w tę stronę, znowu lornetuje i nagle słowo „lew” elektryzuje nas wszystkich. Ja przechodzę istne katusze. Mam strzelbę, która może służyć do wszystkiego oprócz strzelania, 2 naboje, a na dobitkę za chwilę zrobi się ciemno. Teraz już gołem okiem widać wspaniałego zwierza, który wolno odchodzi. Stajemy raz jeszcze i przez szkła dokładnie widzimy lwa. Wcale nie jest przestraszony widokiem wozu, co chwila przysłaje i z ciekawością na nas spogląda. Podjeżdżamy jeszcze bliżej i może o dwieście kroków stajemy. Mój towarzysz ruchem ręki pokazuje mi lwa i mówi: „je vous l'offre”. Lew przystanął pod dużym drzewem i spokojnie ku nam spogląda. Była to może najstraszniejsza chwila w moim życiu. Sam nie wiedziałem, co począć. Strzelba, którą miałem — niezdatna była do użytku, etyka myśliwska wzdraga się, by niepewną bronią ryzykować strzał do króla zwierząt i dżungli. Lew stoi spokojnie na tym samym miejscu, zupełnie jak na złość. Tłumaczę Blake'owi, że już nie widzę, a naprawdę już się ciemno zaczyna

robić, i że nie chcę strzału ryzykować. B. wściekły tłumaczy, że tak wielkiego i czarnogrzywego lwa prawdopodobnie nigdy w życiu więcej nie spotkam, namawia mnie, bym zaryzykował. Podaje mi swoją strzelbę, jednak niestety bez lunety, bo nigdy jej nie używa, ale już ciemno prawie zupełnie i komory znaleźć nie mogę. Ostatnia to chwila. Blake wrywa mi swoją strzelbę, mierzy dokładnie, znowu odkłada, mierzy znowu i spokojnie strzelbę odkłada ponownie. Twierdzi dalej, że to ten sam lew, spłoszony moimi strzałami i że napewno trzyma się stale w tej okolicy, więc spotkanie jest zupełnie możliwe. Coś mi tam jeszcze długo tłumaczył, ale dziwny szum miałem w uszach i dziwnie słono mi było w gardle. Rozglądamy się za lwem przy ostatnich blaskach zachodzącego słońca. Za tym królem zwierząt, który spokojnie, wolno dalej w step postępuje, często



*24 woły ciągną  
przez step na  
saniach zapasy  
benzyny i pro-  
wiantu dla  
naszej wyprawy*

przystaje, rozgląda się na wszystkie strony, ale bynajmniej nie przestraszony, wspaniały, ufny w swą moc, prawdziwy pan i władca dżungli i stepów. Nagle Blake zrywa się z miejsca, zapuszcza motor i całym pędem rusza w stronę oddalającego się lwa. W pierwszej chwili nie bardzo rozumiem, co to ma znaczyć. Ciemno prawie zupełnie i naprawdę teraz o strzelaniu mowy być nie może. Za chwilę mam wytłumaczenie tej piekielnej jazdy. Blake ma zamiar forsować lwa i dostać go pod koła. Zaczyna się najbardziej fenomenalny *par force*, i to na niebyłąką zwierzynę. Kurczowo trzymamy się naszych pasów asekuracyjnych, gdyż w dużym pędzie auto wyprawia dzikie skoki; mam wrażenie, że lada chwila musi się wywrócić dogóry kołami, mimo to mój towarzysz jeszcze przyspiesza tempa. Przestrzeń, dzieląca nas od uciekającego całym pędem lwa, zmniejsza się raptownie. Lecz teraz ciemno już zupełnie, zapalamy reflektory i łapiemy w światło lwa, który mknie w step olbrzymimi susami. Widać, że chce się wydostać ze światła; czasem udaje mu się to na kilka sekund, lecz Blake zawsze łapie go znowu. Mylenie doprowadza nas do rozpacz: tracimy kilka drogocennych sekund, przez ten czas lew zyskuje po kilka metrów. Przez pierwszych kilka minut widzimy go stale o jakieś 50 kroków, z czasem przestrzeń stale się zmniejsza, mamy go już o 25 kroków. Nagły skok wbok i wyjście ze światła oddala nas znowu o kilkadziesiąt kroków. Trzeba nagwałt nadrabiać. Jedziemy cały czas z szybkością 45 km, zapominamy o możliwości wywrotu, jakby gorączką opanowani krzyczymy ciągle: *prędzej! prędzej!* Na zwierzęciu znaczyć zmęczenie: ucieka coraz wolniej, ogłada się często i ciężko dyszy; zaujemy, że lada chwila musimy go dopaść. Raz odwrócił się zupełnie i jakby chciał na nas skoczyć, lecz na widok pędzącej, szalejącej i buchającej parą maszyny znowu odskoczył wbok, zyskał kilka sekund, lecz za chwilę mamy go zpowrotem w świetle naszych latarni. Jest teraz nie dalej, niż o 20 kroków. Przez dobrą chwilę mam możność obserwować zbliżającego się wspaniałego zwierza. Widać dokładnie, że dobywa ostatnich wysiłków, by ująć pogoń. Pod ciemną skórą widnieją przepyszne mięsne, skoki je-

go, choć wolniejsze, zmuszają nas do utrzymania tempa. Coraz częściej odwraca w pędzie swoją wspaniałą czarną głowę. Widać, że światła go rażą i że nie bardzo zdaje sobie sprawę z odległości, jaką nas dzieli. Blake krzyczy, że za chwilę będzie nas szarżował mimo wszystko. Miła perspektywa! Niech mu się skok uda, to zostanie z nas marmelada, bo o strzelaniu mowy być nie może. Mój towarzysz pociesza nas nadzieją, że skok nie może się udać, gdyż lew nie obliczy szybkości wozu i musi wpaść pod koła. Trzymając się kurczowo pasa, jedną ręką wydobywam kolta, by w razie skoku *à bout portant* móc strzelić. Nagle w największym pędzie samochód najeżdża na duże w trawie leżące drzewo. W jednej chwili jesteśmy w powietrzu, przez ułamek sekundy zdaję sobie sprawę, że katastrofa jest nieunikniona, lecz dziw nad dziwy: spadamy na ziemię na cztery koła i mkniemy dalej. Lecz teren się psuje, kilka mniejszych rowów nasz samochód przesadza jak koń wyścigowy. Duży kamień powoduje, że jedziemy przez dobrą chwilę na dwóch kołach, i to zataczając piękny łuk. Oddala nas to znacznie od lwa, który kieruje się teraz ostankiem sił do pobliskiego lasu. Chwila lepszej drogi, widzę wysilek i zawziętość w twarzy mego przyjaciela, wydobywa co może z maszyny: jeszcze kilka sekund, a lew musi znaleźć się pod maszyną.

Lecz nagle najeżdżamy w całym pędzie na niewidoczny w trawach wielki głaz. Duży skok, trzask łamanego resoru i stajemy jak wryci, robiąc w powietrzu obrót na 45 stopni. Wypadam z wozu w trawę, tłukąc sobie mocno rękę. Słyszę przekleństwa mego towarzysza. Samochód stoi pochylony w dużym rowie. O kilka metrów dalej na prawo byłibyśmy wjechali w głęboki parów, a tam salto mortale byłoby niuniknione. Szczęśliwie nikomu nic się nie stało. Dzielimy się nawzajem przeżytemi emocjami. Blake twierdzi, że jeszcze kilka sekund, a lew byłby nasz. Nie może sobie darować, że mu się nie udało. Od lat bowiem jego marzeniem było tego rodzaju forsowanie lwa. Cieszy się jednak bardzo, że mógł mi sprawić tego rodzaju emocje. Zaznacza przytem, że nie dużo ludzi na świecie może się poszczycić tego rodzaju polowaniem. Trudno opisać co czułem wtedy.





## trochę śmiechu

Wszyscy narzekają na kryzys. Kina były zamknięte, może i lepiej — filmy stały poniżej poziomu.

Sztuki w teatrach beznadziejne. W kawiarniach duszno.

Idą ulicami, w tę i w inną stronę.



Pan w antycznej panamie, pani o smukłej sylwetce i niepokojących nogach.

Oficer pobrażkuje orderani, sztubak wlecze się z marzeniem wakacyj pod czerepem czaszki.

Policjant na skrzyżowaniu wymachuje pałeczką i myśli, że przecież spociał się pod pachami.

Czarnym, ośmio-cylindrowym roadsterem jedzie międzynarodowy hochstapler.

W odrapanej dorożce wiezie osiemdziesiąt pudełek jedwabnych pończoch jakiś Szmul czy Motek.

Jest gorąco, ludzie jedzą lody.

Jest zimno, chowają nosy w płaszcze.

Rodzą się, umierają. Mówią o biedzie, mówią o dolarach, o nuncjuszu wydalonym z Kowna.

Idą do Luna Parku.

Idą bez troski, swobodnie.

To znów zażenowani, bo niby — Luna Park to coś nie tego...

Demokracja demokracją, ale co człowiek wymyśli Palmolivem to nie zwykłym mydłem.

Wstrętna szyja żelaznego mostu.

Jakieś platformy, wozy chłopskie wiozą miejskie meble na „letniaki“, tramwaje — „Palenie tytoniu na moście, surowo wzbronione“. Taksówki, ludzie w lewo, ludzie w prawo.

W dole, bura woda. Płynie.

Gdzieś tam statki, gdzieś zielone brzegi.

Na prawo „Przemienienie Pańskie“, ludzie w białych fartuchach, długie rzędy łóżek, sztandartowe posążki Bożych Matek. Czyjś płaszczyk, czyjś krzyk, czyjeś liczenie pod maską — raz, dwa, trzy, cztery... Każda kropla chloroformu dźwięczy jak dzwon.

Na lewo Luna Park.

Przedewszystkiem wysokie, skomplikowane rusztowanie kolejki górskiej, wysokie parkany, alisze, brama, szofer:

— Dwa złote osiemdziesiąt.

W kasie tylko trzydzieści groszy.

Ludzie za trzydzieści groszy inny świat!

Sporo świateł i megafonów.

„Pod samowarem siedzi moja Masza,

Ja mówię tak, a ona mówi nie“...

Oczywiście naprzód kolejka.

Mozolnie, z donośnym klekotem pod górę. Potem:

Na lewo jakieś światła, na prawo światła, obok — dziewczyna ma dobre piersi i mówi:

— Ja się boję...

Coraz bliżej.

„A gdyby tak otwarła się metalowa zapora?“.

Idjołyzm.

Już.

Dech zaparło, szum, pęd i piekielny hałas

Znów pod górę, znów na dół i szkoda, że tak krótko

Więc jeszcze raz!

Ohok jest „Rewja“.

Dowcipuszki, piosneczki, dziewczęta.

Widownia zastuchana, widownia „nastawiona“ krytycznie.

A potem idziemy w świeżości nadrzecznej.

Grają megafony, i karuzele, i klekocze kolejka.

Po ruchomych schodkach, w górę. Niby nic, żadna sztuka, a jednak — gość „zgubił“ nogę i trzyma się kurczowo poręczy. Ci u dołu trzymają się kurczowo za brzuchy i śmieją się.

Spróbujmy na dywaniku, wąskim korytkiem ku dołowi. Przed oczyma lecą „czasy dobre“, na tornistrze, „Z górki na pazurki“.

A może spróbujemy szczęścia?

To przecież takie łatwe zarzucić stosunkowo duże kółko na szyję butelki z winem

Niestety, tylko czekolada, i to po długich próbach.

— Najlepiej to nauczyć się w domu, potem przyjąć tu, faceta ogra się do ostatniej nitki, — mówi młody pan w sportowej czapce do młodego pana w kapeluszu.

— Do strzelnicy nie pójść.

— A dlaczego?!

— Precz z wojną!

— Przecież to nie wojna.

— A ja mówię, precz z wojną!

Ba, człowiek z zasadami.

Karuzela, cudowna karuzela na łańcuchach.

Cud.

Coraz prędzej, prędzej, prędzej.

Teraz pozycja jest prawie pozioma, a w dole wszystko gna w błyskawicznym pędzie i wszystko jest naukos.

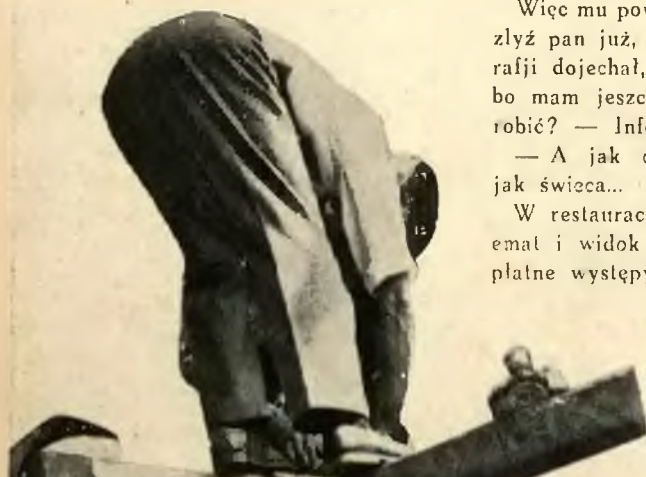




Prędzej, coraz prędzej.

Migają jakieś światła, prawie nie słysząc gwaru, ni muzyki. W uszach brzęczy jak wielki bąk — pęd.

Świat jest do góry nogami.



I coraz wolniej, wolniej, wolniej, i smutno, że — już.

— Wczoraj to był taki migłano co dostał gratisowy bilet, i jeździł, aż go zamgłilo, ale jeździł. Ludzie uciekali, parasole otwierali, a on furt jeździł.

Więc mu powiadają gęcznie:—panie szanowny złyż pan już, boś pan dawno do właściwej parafji dojechał, — a ten powiada: — nie złyż bo mam jeszcze do jeżdżenia... I co mu było robić? — Informuje usłużnie „stały bywalec”.

— A jak dredon zlął, to był błazichny jak świeca...

W restauracji u p. Lewickiego piwko — poemat i widok obszerny na estradę, gdzie bezpłatne występy artystów.

Tańczy ognista Hiszpanka, kastanietami brząka i na zakończenie woła:

— Olé!

A przed oczyma zaraz walki byków, Zamorra, król



Allons i czerwony przez trzy szpalty tytuł:

*Mottoch hiszpański pali klasztory.*

Biedna Hiszpanko z ulicy — Targowej...

Ekwilibryści na rękę.

Ci ludzie są pewnie z gumy. Wkoło wala brawo, na stradzie uklony, kelner woła:

— ...szanowanie państwu!





Coby zrobił w tak  
zw. „labiryncie” pi-  
jany?

Łaziłby długo, mo-  
zoliwie, z nienawiścią  
spoglądał na jednako-  
we ściany, na jedna-  
kowe dróżki i wresz-  
cie — położyłby się  
spać.

Biedne urzędnice nie-  
mowlę

Są i Indjanie.

A jakże. Dzieci, mie-  
dziani na twarzach.  
Ktoś naprawdę po-  
wątpiewa, na ludzką  
niewiarę niema rady.

A teraz — elektro-  
drom.

Małe wózki ze sterem.

Jedzie dziewczyna, naprzeciw chłopak.  
Skrył, fałszywy ruch, starli się. Śmiech.

Coś mówią do siebie, próbują oderwać się  
i znów jadą, każde swoją drogą. Weseli.

A tu jest dancing na ruchomym parkiecie.

Granatowa marynarka, spodnie popielate,  
obok niebieska sukienka, prawie z trenem.



I cztery dłonie złączone, i dwie twarze roze-  
śmiane, zaczerwienione.

Obok inna para, i jeszcze inna. Mnóstwo  
par. Muzyka gra jakiegoś slow-foxa.

Życie jest piękne.

Parkiet wiruje łagodnie.

— Jak pan nie przestanie mnie tak przy-  
ciskać...

I śmiech, fala śmiechu.  
Przyplywa i odpływa.

Bez przerwy.

— Tu znajdziecie czary  
świata lajemnego, tylko  
pięćdziesiąt groszy, — pisz-  
czy młoda, cudacznie ubra-  
na dziewczyna.

— Za złotówkę, za zło-  
tówkę, pokaz magji.

— Największy cud, Nie-  
gara, tylko u nas, tylko  
u nas.

A megafony prawie nie  
milkną.

Szczelny wysoki parkan z je-  
szcze wyższą wieżą.

Zza parkanu — jakiś hałas  
rozgłośny. Niby muzyka, niby loskot rąbanego  
drzewa.

Wieś murzyńska.

Krąg chałup skleconych ze słomy. Po środku ni to weran-  
da, ni altana, ze słomianą strzechą.

Wkoło siedzą murzyni i murzynki.







*Można spróbować  
szczęścia*



Dwóch uderza ładnemi, foremnemi dłońmi  
w jakieś przedziwne bębny. Loskot i huk.

Na pustej przestrzeni podryguje komicznie  
kilka kobiet w białych narzutkach. Kolebią  
się przywiązane do pleców dzieciaki.  
Na czarnych twarzach — monotonia.

Ludzie stoją ciasnem koliskiem. Patrzą,  
śmieją się, od małych murzyniątek kupują  
za dwadzieścia groszy patyczki do „czysz-  
czenia” zębów.

A przed słomianemi chałupami siedzi  
tkacz.

A muzykant z dziwnym instrumentem.

Złotnik dłubie coś z zapalem. Na małej  
tacy drewnianej leżą srebrne pierścioneczki,  
bransoletki.

Senegalskie.

A malarz tworzy na poczekaniu pocztówki z jakimś hieroglifem.

Jest i szewc.

I matka, która produkuje 30-dniowe dziecko. Małego, czarnego szkraba.

W chatach są nieposłane legowiska, jakieś szmatki, jakieś blaszanki, eleganckie walizki.

— Tym negrom musi być zimno, — powiada ktoś.

— Powinni im lampy kwarcowe założyć, — pada genialny pomysł.

Jakiś mały, biały chłopak jest niewiernym Tomaszem. W asyście rodziców ślini rączkę swego murzyńskiego rówieśnika.

I próbuje zetrzeć czarną — skórę.

Nie idzie.

Biały chłopak jest zaskoczony.

Czarny — zły, coś białemu wymyśla w niezrozumiałym narzeczu.

Za słomianymi chatami, na uboczu jest — kuchnia.

Kilka kamieni i jakieś blaszanki. Stara murzynka coś piąra, kiwając się nad tlejącym ogniskiem.

A po „wsi” chodzą smukli murzyni, czasami uśmiechają się, częściej są jacyś niedoświadczni. Może myślą o dalekim Senegalu, może o dalszej włóczędce, a może o kieliszku dobrej, palącej wódki z białą dziewczyną.

Przyjechali z Paryża, jadą do Norwegii czy Szwecji.

Dzikusy z Czarnego Łądu z angielskimi walizkami.

Gdzieś wysoko, na czarnej kopule prze-

stworzy strzelają rajskie ogony rakiety wielobarwnych.

Każdy kawaler powinien spróbować szczęścia...

Teraz karuzela na wrotkach.

W samochodach, z ciemnym tunelem.

I jeszcze jedna, stara, poczciwa, na konikach. Ani koniki się nie zmieniły, ani melodia.

Wszystko tak samo.

Pokażny młotek i drewniana kukła podskakująca do góry. Siłomierz. Wkoło wianek „fachmanów”.

— Te, Goljat, żeby ci szelki nie pękły.

— Załóż się, że wybiję więcej niż ty...

— Wal brachu, a fajno!

— Jest i wróżka.

Ruletka z aeroplanikami i ostremi pociskami. Można wygrać bonbonierkę czekolady, albo mydło toaletowe, czy pudełko irysów, a nawet butelkę wody kwiatowej lub wina.

— Niech pan dobrodziej spróbuje jeszcze raz, tylko 50 groszy... Ba, pan dobrodziej ma szczęście w miłości, to tak zawsze.

— Tą kulą siły spróbujesz, — zachwala inny siłomierz przedsiębiorca.

Grają megalony, i karuzele, i klekocze kolejka. Zdaleka słychać bębny murzyńskie.

Bulgocze śmiech, może głupi, ale bez troski.

Kłopoty zostały za parkiem, nad brzegiem Wisły pewno grają w klipę.

Tu jest radość życia dla wszystkich. Za trzydzieści groszy.

Włodzimierz Poptawski  
Fot. Baan - Warszawa.

*Zabierz radjo na letnisko —  
Będiesz miał stolicę blisko.*





fot. St. Bochmig, Grudziądz

*U wrót polskiego morza*



fot. J. Bulhak, Wilno

*Nenufary*





# Jak strażnik Cholewka zabił młodą dziewczynę

Historja prawdziwa

Napisał:

Ilustr.: Z. Walicka

Seweryn Pollak

Mieszkałem ongiś w Wądołach Wielkich, tuż nad samą granicą. Zły los kazał mi siedzieć w tem pustkowiu przez kilka tygodni w oderwaniu od świata i ludzi. Wędrowałem tedy po polach i lasach, niewiele myśląc o państwach, traktatach międzynarodowych, o nienaruszalności granicy.

Polą tam były rozległe, dojrzałem złotem zbóż szeleszczące pod wiatru dotknięciem. Gdzie niegdzie ciemną zielenią dąb się śródpolny w słońcu rozrastał, brzoza pnem grubym, białym jaśniała i migotała srebrzystym listowiem, albo też małe zagaje leszczyny parowały lepkiem sokiem i szorstkie liście, podziurawione przez drobne robaczki, wystawiały na gorące słoneczny.

Równina była pochyła nieco, ku tamtej, obcej stronie spadająca, wieżę kościelną widać było z oddali i las szarofioletowy, lub siny niekiedy, na widnokręgu. Ludzie? Jak ludzie: Siali, orali, pastuchy było gnał na łąki, skąd płynął cierpki, kwaśny zapach świeżo skoszonych traw i słodka woń kwiatów, hukali ku sobie z kraju do kraju, a czasem chyłkiem przebiegali granicę, by narwać orze-

chów z cudzoziemskiej leszczyny, albo bydlę ze szkody wypędzić.

Granica biegła ścieżką polną, a potem drogą za wsią, od której wiódł ongi gościniec ku jasnej w słońcu wieży kościelnej.

Dziś gościniec trawa zarosła, krzew się jakowyś na środku rozparł, a u skraju łąki, gdzie zagaj olszyn porastał — barjera stała i budka strażnicza.

I tylko drzewa wiśniowe kwitły po dawnemu po bokach szosy białem, puszystem kwieciami na wiosnę, a latem czerwone kulki owoców świeciły w bujnej zieleni. Wędrowałem zwykle swojemi, w słońcu płynącymi drogami. Przemyślnym, samoswoim sposobem, instynktem pewnym, a nieomylnym, unikałem spotkania ze strażnikami. Raz tylko jeden los na mej drodze postawił groźnego strażnika Cholewkę.

Wracałem raz o czerwonym zachodzie z wędrowki mej zwykłej, samotnej. Jak zwykle w polu, miedzą idąc, do kraju obcego zbłądziłem, a teraz wypadło mi wracać owym dawnym, nikomu niepotrzebnym gościńcem. Zboczyłem nieco w olszyny, by przejść niepostrzeżenie; cicha-

czem, kocim krokiem przemknąłem koło obcego strażnika, gdy nagle głośny okrzyk zatrzymał mię na miejscu.

— Kto idzie? Stać!

Wstrzymałem oddech. Za krzakami majaczyła jakaś ciemna postać. Gałązka sucha, strącona niezręcznem poruszeniem, zatrzęszczała, budząc, jak mi się wówczas zdawało, rozgłosne echo. Cisz... Drzewa szeleszczą. Próbuję iść dalej. Nagle... Powietrze rozdarło się i przetoczyło nademną. — Padłem plackiem.

Zbliżały się czyjeś kroki, twarde, nieustępliwe. Nie było celu uciekać.

— Czy pan nie ranny? — Zwieszały się nademną niepewne, zatroskane wąsy. Niespokojne ręce przewróciły mnie nawznak i rozpiwały marynarkę.

— „Nic, nic. Nic mi nie jest”. — Sprężystym skokiem poderwałem się z ziemi.

— „Dzięki Bogu!” — Westchnienie ulgi. Groźne wąsy poruszyły się radośnie. — „Dzięki Bogu”; — powtórzył. Ręka wędruje do kieszeni, wielką, czerwoną chustką ociera skroplone potem czoło.

Uśmiecham się. — „Nic mi nie jest. Nastraszył mnie pan tylko”.

— „Co pan tu robi?” — służbiste podciągnięcie. Mój niedoszły zabójca wraca do swej roli. A zaraz potem niepewne pytanie: — „Czemu pan, na Boga, nie odezwał się?” —

— „Wyszedłem na spacer... zbłądziłem” — bąkam niepewnie.

— „Pańskie dowody?” —

— „Oto są”, proszę. Mógł mię pan zabić.”

Wąsy są bliskie płaczu. Twarde supły palców szybko przerzucają papiery.

— „Czego się pan nie odzywał?” —

Czuję się głupio. Jak odpowiedzieć temu człowiekowi?

— „Bo widzisz pan. — Miałem już taki wypadek. Zabiłem wtedy dziewczynę. Musiałem zabić”. — Tłumaczy się wąsy.



*Zwieszały się niepewne, zatroskane wąsy...*

— „Powiedz pan. Jakże to było?” — pytam szybko, uradowany zmianą tematu.

— „Ano zabiłem. Przełaziła przez granicę, paczkę jakowąś nosiła — więc zabiłem.” — Twardo rzuca w odpowiedzi. — „Jest pan wolny. Może pan iść”, — widać, że pragnie zakończyć rozmowę.

— „Ale była niewinna — prawda?” —

Pytam gorąco. Majaczy mi nagle w wyobraźni jakaś romantyczna historia.

— „Powiedz pan, co to było!” —

Stoimy naprzeciw siebie. Liście nad nami szumią, poruszone przedwiecznym powiewem, cienie błędzą od drzewa do drzewa, od łąk wiatr niesie odgłosy dalekie — ptaków przed-senne pokrzyki, żab kumkanie przeciągłe.

— Dobrze. Opowiem panu wszystko — całą historję — — — — —

— Była u nas we wsi, w Wądołach, dziewczyna, Maryską ją zwali. Ot, dziewczyna, jak dziewczyna; zdrowa była, wesola, czerwona na gębce. A że rodziców nie miała, bo się gdzieś na Saksach zapodzieli, miałem to — to na krewniaków troszce



zostawiwszy, więc się tak sama chowała na boskiej opiece. Z początku krowy pasła, za gęśmi chodziła, potem jak wzrosła w lata—do karczmy poszła — na służbę. Chłopaki sobie za nią oczy wypatrywali, ale ona nie wiele sobie z nich robiła. Uchowała się jakoś, — że ją tam który chwycił mocniej w tańcu, wycalał gdzie w kącie — toć to się przecie nie liczy. To też nie było dziwno nikomu, że z chłopakami latała i nikt nie zwrócił uwagi, gdy się na dłużej z Jankiem Walczakiem stowarzyszyła. Przyszedł tam kiedyś z Ciasnej, co to ją Niemcy Tschasnau ochrztili, do karczmy na muzykę i jak mu dziewczyna w smak poszła tak coraz częściej począł się do nas przekradać. Chłopaki z początku na niego pyskowali, ale gdy uwidzieli, że dziewczynisko już nie dla nich, że sobie za obcym oczy wypatruje, to i dali spokój. Ano i zaczęły się spotkania: to na muzyce, to gdzieś znów u węgla, za płotem — dziewczyna chodziła jak w zorzy roześmiana, wesola. A że i chłopak był niczego, więc już poczęli gadać,



..że ją tam który chwycił mocniej w tańcu..

że to i zapowiedzi prędko wyjdą. Aż tu po żniwach poszło między ludźmi, że nasza Maryśka grubiej je jakości w pasie.

No i zaczęło się piekło dla dziewczyny — —

A wszystko to przez organistę, co go tu świeżo przystali. Bo trzeba Wam wiedzieć, że ten organista młody był, pobożny zdało się, bo się jakoś dziwnie z wikarym naszym poprzyjaźnił, lecz pażerny na dziewczyny, że strach. Wpadła mu kiedyś w oko Maryśka, więc się do niej uśmiechał, cukierkami częstował i do swego obejścia zapraszał, niby że jej u księdza lepszą służbę wyrobi. — Aż kiedyś szepnął mu ktoś, że Maryśka w ciąży chodzi. Od obcego zatem, od Janka. Pobladał dziwnie, rozejrzał się, oczy mu tak latały i tak krwią zaszyły jak u pijaka, gdy się z chłopami w karczmie poswarzy i do bitki lezie, i zaraz chyłkiem na plebanję się przemknął.



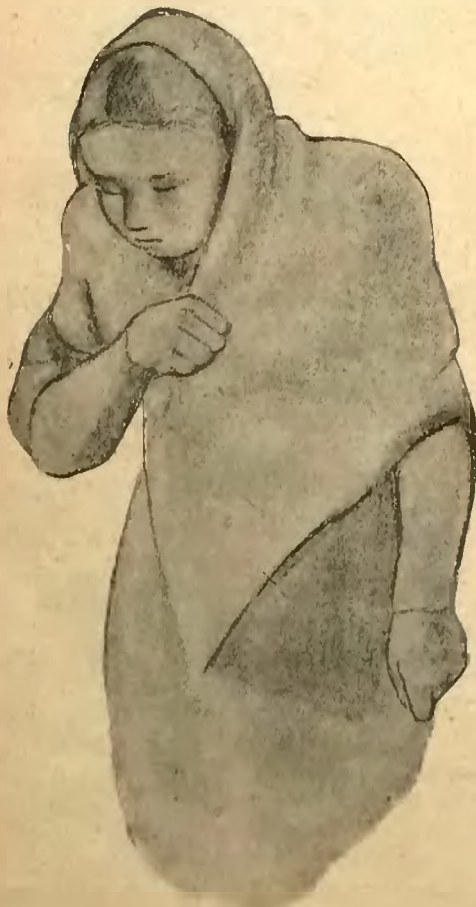
'Dziewczyna

zdrowo

była.

wesola ..

Co tam księdzu wikaremu do ucha kładł, nigdy się nie dowiemy, ale na-  
zajutrz ksiądz kazanie miał, o za-  
razie krzyczał, o zgorszeniu. Maryś-  
ka, że to niedziela była, w kościele  
stała — cała w ognjach, oczy spuści-  
ła i takie było biedactwo nieszczęśli-  
we pod temi gromami, wśród prze-  
śmiejchów i kpinkowań, co się pod-  
niosły w kościele, tak się skurczyła,  
zmalala, jakby ją przybił do ziemi  
ten palec, którym ją ksiądz wskazy-  
wał i te spojrzenia wszystkich i u-  
śmieszki. Zaś kiedy ksiądz zaczął  
mówić o obcych, co to przychodzą,  
a są źródłem nieprawości, a rozpustę  
sieją — zerwała się dziewczyna po-



*Maryśka oczy spuściła, skurczyła się,  
zmalala...*

środku kazania i jak ten ptak po-  
strzelony z kościoła uciekła.

Włóczyło się pewnie dziewczynisko  
po polach, bo dopiero nad wieczór zbiedzona przyszła do karczmy. A tu na  
nią karczmarka z pyskiem, że jej  
wstyd robi, żeby się wynosiła; zwią-  
zała w węzeł jej lichą chudobę i wy-  
rzuciwszy za próg wołała:

— Do szwabów idź, ty dziwko-  
laczniczo — do niego, do Walczaka,  
żeby tu twoja noga u mnie nie  
postała.

Byłem ja wtedy na służbie i ob-  
chód miałem na granicy. Zmroczyło  
się już dobrze pod wieczór, mgła  
stała nad łąkami, a cisza szła zaroś-  
lami, jak kot, co się na ścieżce do  
ptaka skrada.

Idę ja sobie pomalutku, strzelbę  
do ziemi przewiesiłem. Kłóży się —  
myślę — w taki czas chciał przez gra-  
nicę przekradać.

Nagle słyszę — chrupnęło coś  
w krzakach — jakby kto gałąź ze-  
schłą nadepnął. Staję. Słucham. Nic...  
Wiatr się zerwał, czubami krzewów  
poruszył. Cisza. Zdawało mi się —  
szepnąłem. — Idę dalej — znów...  
Tym razem bliżej —

Kto idzie? — wołani. Ruszyło coś  
się, rzuciło w bok, jak ranny zając  
przed myśliwym. Zdjąłem strzelbę,  
stałem i ino się do cyngla przy-  
łożył. — Strzał. Jęknęło coś i cicho.  
Idę ja na głos — Jezus Panie —  
Maryśka leży — ręce na boki rzuci-  
ła — a z brzucha jej się leje krew  
i ziemię czerwieni wkolo. —

— Maryś — wołam — żyjesz?  
Ozwij się — a ona nic, tylko się raz  
jeszcze jak ta ryba rzuciła... A krew  
jak ciecie tak ciecie — z niej i z te-  
go dzieciątka...

Było tam potem śledztwo i bada-  
nie i sąd. Mówili, że ją za prze-  
mytnika wziął, bo tobół miała — le-  
żał opodal rzucony. Zatrzymali mię  
na służbie, nagrodę jeszcze dali.

Ale ja wiem swoje. Zabiłem ją  
bez winy. A najgorzej to to dzieciąt-



ko małe — niezrodzone. Bo moja służba to jedno — a to, żem niewinnemu dzieciątku na świat nie dał przyjść — to moja sprawa, mój grzech.

Bo nie jest grzechem zabić za winę, za szkodę — kiedy człowiek innych krzywdzi, innym żyć nie daje —

ale jest grzech niezrodzone życie zabić — bo niewiadomo przecie — co z niego wyrośnie. A to już moja winna — i tego nie wiedzą ci sędziowie...

Zamilkł. Szliśmy dalej w milczeniu. Przed nami biegły cienie, jak wierne psy. — Strażnik Cholewka pykał zagasłą oddawna fajkę — — —



*...żem ją za przemytnika wziął —  
bo toboł miała...*

## Na dachu „drapacza chmur”



— Proszę pani, ogrody na dachach są najlepszym pomysłem współczesnych architektów. Przynajmniej ma się tę pewność, że żadne z dzieci nie jest narażone na niebezpieczeństwo wpadnięcia pod samochód



# Jedziemy... na rybki...

Z grabnym sportowym yachtem wyruszamy z Jamajki ku Małym Antylom... na rybki. Miejsca te bowiem słyną z dobrych połowów. Wybraliśmy się bez wędek, bez sieci, bo nie mamy zamiaru łowić ryb jadalnych. Przeciwnie, zapolujemy na ryby — szkodniki, żywiące się właśnie jadalnym przez ludzi rybostanem morskim. A jest tego dobrego pełno we wszystkich morzach — znacznie więcej niż szczupaków w rzekach. Harcują one nieopodal brzegu, wyszukując zastawionych sieci rybackich, które pożerają wraz z połowem. Odprowadzają też statki w morze, pochłaniając wszystkie wyrzucane z nich odpadki. Nie pogardzają również i człowiekiem, to też są plagą drobniejszego rybołówstwa na oceanie.

Ale złowić takiego potworka jest dosyć trudno. Nie jest to już tylko polowanie naszych znakomych nemrodów w Afryce na lwy, lamparty, bawoły lub słonie — jeno coś znacznie ryzykowniejszego, coś bardziej emocjonującego. To też i sprzęt myśliwski zabieramy nieco inny. Nie zapominamy wprawdzie o karabinach i kulach ekrazy-

towych, ale zaopatrujemy się ponadto w ciężkie harpuny, łańcuchy i zwoje lin.

Yacht wypłynął na szerokie wody — rozglądamy się wokoło, a nad nami unosi się jedнопłatowiec myśliwski. Lotnik prędkiej i łatwiej dostrzeże zdobycz. Kiedy ją wykrył, daje znać przez radio — sygnalizuje rozmiary i rejs potwora morskiego. Yacht płynie we wskazanym kierunku. Widzimy na powierzchni wody coś niby grzbiet łodzi podwodnej z wysoko sterczącym peryskopem... nie! — to płetwa ogona. Na pokładzie poruszenie. Myśliwi w pogotowiu stają u burty — czekają aż yacht zbliży się o tyle, żeby można było dosięgnąć potwora rzutem harpuna. Znawcy już z tej odległości rozpoznają zdobycz. Jest to rekin, należący do rodziny *Squalidae*, zwany również wilkiem lub psem morskim. Sądząc z wynurzającego się błękitno-szarego grzbietu, długość rekina obliczyć można na trzy do czterech metrów. Nie jest to zatem potwór pierwszorzędnej wartości, ale i z tem zapewne będziemy mieli dosyć kłopotu. Rzeczywiście, zanim zdążyliśmy znaleźć się na wymaganej dla rzutu odległości,

... Jest to rekin zwany również psem, lub wilkiem morskim



nasza rybka pożaglowała pod wiatr, otoczyła wprawnie łódź i znalazła się poza jej rufą. Widzimy teraz poza sobą nadobną jej „mordusię”. Wygląda to żartoczone niewiniątko tak, jakby się szykowało do połknięcia całej załogi wraz z łodzią. Tego się wprawdzie nie obawiamy — nie dlatego, żeby ten piesek morski nigdy się o to nie pokusił, ale dlatego, że — wbrew bezczelnej jego odwadze — trudno przecież byłoby mu połknąć trzech myśliwych najeżonych karabinami i harpunami; chociaż wiadomo nam, że człowieka przegryza nawpół bez większej fatygi. Fakt jednak, że rekin znalazł się „na naszych tyłach” bynajmniej nie ułatwia sytuacji. Rzut harpunem jest prawie niemożliwy. Tembardziej nie może być mowy o strzelaniu do tej gruboskórnej bestji, która, naspikowana kulami, nabiera zawziętości i ryzykuje napad. To też lawirujemy tak, aby zejść z kursu potwora morskiego. Atoli rekin uporczywie płynie za nami i gdyby mu przyszła ochota dać nura pod nasz yachcik — kto wie, czy nie znaleźlibyśmy się za chwilę w wodzie. Wprawdzie i wtedy nie byłby to już koniec polowania jeno, że... zmieniłyby się nasze role. W tej naprężonej sytuacji ktoś z myśliwych spostrzega inny okaz wynurzający się w odległości trzydziestu metrów i płynący równolegle z naszą łodzią. Jest to, zdaniem myśliwego, również potwór z tej samej rodziny, jeno bardziej reprezentacyjny. Różnica polega na tem, że nasz błękitny rekin mierzy około czterech, tamten zaś — rekin Jonasza — dochodzi do pięknych rozmiarów dziesięciu metrów. Nic też dziwnego, że prorok mógł mieszkać w nim wygodnie, niby w luksusowym cottage'u. Skłonnii też jesteśmy porzucić pierwotnie upatrzoną zdobycz i popędzić za rekinem Jonasza. W tejże jednak chwili błękitny rekin, widząc nasz

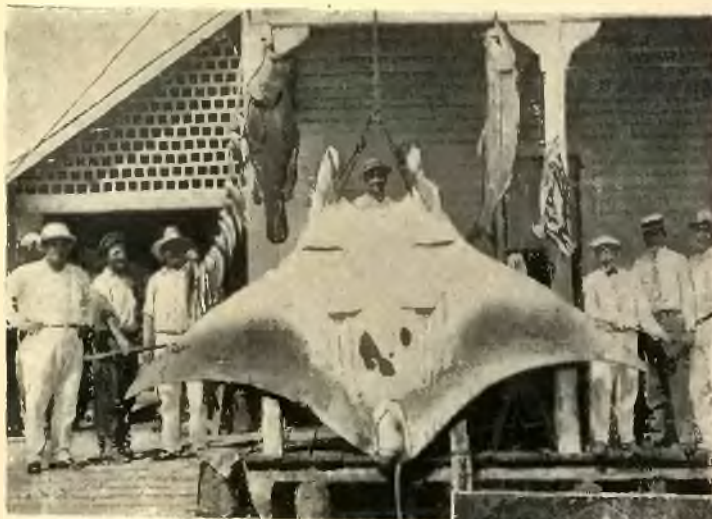
ruch, zabiega nam natarczywie drogę ku swemu nieszczęściu — bo harpun świsnął i wbił się ostrzem strzały w twardy połyskliwy kark potwora. Rekin zdążył wszakże dać nura z żelazem pierwej, niż posypały się nań kule. Łódź szarpnęło, lina wyciąga się szybko na kołowrotku — opieramy się, aby lina nie zwisła, co łatwo mogłoby przyprowadzić naszego rekina o chęć przegryzienia tej niespodziewanej smyczy. I o zgrozo! — za nami, zmniejszając odległość, płynie olbrzymi rekin Jonasza. Myśleć o tem, żeby zrobić dubleta ani sposób, bo znaleźlibyśmy się na uwięzi dwóch bestyj, niekoniecznie zamierzających uciekać w jednym kierunku.



*Widzimy teraz nadobną, dobrze uzębioną „mordusię” rekina, który bez fatygi może nawpół przegryźć człowieka*

Tak płyniemy za naszym rekinem godziwą. „Jonasz” nie opuszcza nas — coś „węszy”. Po godzinie błękitna ryba wypływa na powierzchnię morza — prawdopodobnie po to, aby się przekonać, czy jeszcze tam jesteśmy. W tejże chwili w karku jej zanurzają się dwa nowe harpuny i spada nań kilka





*Podniesiony na łańcuchach potwór, zwany  
djabłem morskim – o wadze 14, tonny i roz-  
piętości sięgającej siedmiu metrów*

kul. Rekin krwawi, idzie pod wodę,  
ale ciągnie nas jeszcze przez godzi-  
nę. Wreszcie martwego holujemy do  
brzegu. Odprowadza nas uprzejmy,  
acz ostrożny „Jonasz”. Na molo tu-  
bylcy Jamajki rozplatali naszą zdo-

*Inny okaz djabła morskiego, zwany wśród myśli-  
wych „aeroplanem” – dla charakterystycznej  
rozpiętości bocznych pletw*



bycz, aby wytopić tran.  
Mięso rzucili potem do  
wody ku uciesze żerują-  
cych zawsze w pobliżu  
mniejszych rekinów.

W kilka dni potem  
podczas innej wyprawy  
powiodło nam się nieco  
lepiej, choć zmaganie się  
było bez porównania  
uciążliwsze i ryzykowniej-  
sze. Tym razem lotnik

*Lampartoryb, rysunkiem  
naskórka przypominający  
wzorzystą skórę lamparcia*



sygnałizował lamparto-  
ryba o czterometrowej  
rozpiętości bocznych  
pletw. Jest to galu-  
nek rai, należący do  
grupy *Plagjostomi*,  
spotykanej we wszys-  
kich oceanach w róż-  
nej wielkości i kon-  
sumowanej w znacz-  
nych ilościach.

Powierzchnia tej  
pięknej rybki jest  
płaska, przypominają-  
ca naszą bałtycką flą-

drę — bez łuski, a częstokroć pokryta skostniałymi narościami. Charakterystyczną cechą jest jej krowi ogon. Złowiony przez nas lampartoryb — rysunkiem naskórka, jak wskazuje już jego nazwa, przypominał wzorzysłość skóry lamparciej. O ileż jednak był od tego „niewinnego kociaka” silniejszy, żywotniejszy, skandaliczniejszy. Pozwolił wprawdzie harpunować się trzykrotnie, jakby mu to łaskotanie naskórka sprawiało przyjemność i przyjął ze dwadzieścia kul bez wzruszenia. Ale za to pokazał nam, co umie. Ciągnął naszą łódź za sobą przez cztery godziny, wyprawiając bez przerwy ryzykowne dla nas harce.

*Lampartorekin — coś pośredniego pomiędzy rekinem a rają, najniebezpieczniejszy przeciwnik oceanicznych myśliwych*

*Lampartoryb widziany od strony brzucha*



Po całodziennym polowaniu wracaliśmy dumni do portu ze swoim lampartorybem. Jakież jednak było nasze zdumienie kiedy ujrzeliśmy na przystani podniesionego na łańcuchach niezwyklego potwora-rybę zwaną djabłem morskim. Był to okaz ważący przeszło półtorej tonny, a mający z górą siedm metrów szerokości. Okazało się, że na rybkę tę myśliwi polowali już od kilku dni przy asyście dwóch aeroplanów.

Pocięzzyliśmy się wprawdzie już w następnym tygodniu, kiedy obsada naszej łodzi mogła zaimponować nową niezwykłą zdobyczą. Był to t. zw. lampartorekin — coś pośredniego pomiędzy rekinem a rają — jeden z najsilniejszych i najniebezpieczniejszych stworów morskich z setki prawie gatunków znanych i rozpowszechnionych na pełnem morzu pożeraczy ryb, mięczaków, a zwłaszcza fok.

mj.



*Astrologowie  
średniowieczni  
dokonywający  
obserwacji.*



*Ilustracja  
rękopisu  
z  
XVI w.*

## Co gwiazdy mówią o naszym kraju?

Poprzednio — w numerach 78, 79 i 80 „Naokoło Świata” — charakteryzowaliśmy w artykule p. t. „Wpływ znaków zodiaku na życie ludzkie” wszystkie znaki zodiaku po kolei, opisując ich właściwości i sposób przejawiania się w życiu psychicznym ludzkości, co było poparte odpowiednimi przykładami.

Jedną z ciekawszych teorii astrologicznych jest niewątpliwie przypisywanie znakom zodiaku również wpływu na życie całych ras i narodów. Jest to prastara teoria astrologiczna i już „ojciec astrologii” — wielki astronom starożytności, Klaudjusz Ptolomeusz z Peluzy w swym słynnym dziele „Tetrabiblos” poświęconem całkowicie astrologii — dzieli narody wedle znaków zodiaku, okazując przytem niezwykłą przenikliwość.

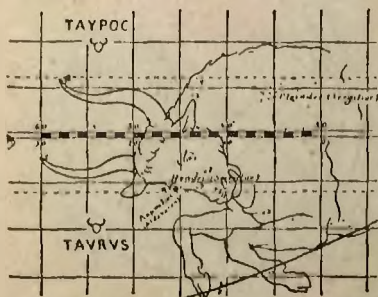
Cechą charakterystyczną astrologii jako nauki, jest niezmiennosc jej podstaw, które przetrwały upadki największych państw, religij, zagładę narodów i cywilizacji. Podstawy zaś astrologii dlatego pozostały niezmienione — iż opierają się na faktach i doświadczeniu. Tu leży cała tajemnica.

Obecnie astrologowie zachodni całą rasę słowiańską odnoszą do dwunastego znaku zodiaku — t. j. Ryb, należącego do elementu wody, reprezentującego wzruszenia, sen-

tymenty i emocje. Wpływy tego znaku, oznaczające społeczną wrażliwość, zmienność, nastrojowość oraz pewną bierność — łatwo dają się odkryć w duszy przeciętnego przedstawiciela słowiańszczyzny — razem z pewnym idealizmem oraz zamilowaniem do muzyki, które również ten znak reprezentuje.

Co się tyczy naszej ojczyzny — zdanie astrologów jest pod tym względem ustalone oddawna.

Już sławny uczony arabski Ali ben Abi'l Rigal Abu'l Hasan, wybitny astrolog, który podróżował po słowiańszczyźnie w początkach XI wieku (zmarł w 1030 r.) mówi



*Miejsce znaku Byka na ekliptyce (od 30° do 60°)*

w swym astrologicznym traktacie, że Polska podlega wpływowi znaku Byka, który specjalnie silnie przejawia się w mieście Poznaniu.

Obecnie, po dziewięciuset latach, podręczniki astrologiczne również odnoszą kraj nasz do tego znaku i identycznie klasyfikują wspomniane miasto.

Mówiliśmy w swych artykułach poprzednich, że ekliptyka opasuje ziemię niewidzialnem kołem — a znaki zodiaku stanowią jakby dwanaście zasadniczych tonów tej harfy kosmicznej. Każdy z nich jest zupełnie odmienny, ma inną treść, a ponieważ wpływ zodiaku odbija się na całym naszym życiu tellurycznym — wszędzie można właściwie dopatrzyć się wpływu jakiegoś znaku zodiaku. Podobnie muzyk, słysząc jakiś utwór muzyczny, może określić jego tonację bez żadnych pomyłek.

Przypuszczamy zatem, iż Abil Rigal musiał doskonale znać zasadnicze cechy charakterystyczne tych dwunastu znaków — skoro jego definicja przetrwała niezmieniona lat tyle. Był dobrym astrologiem.

Astrologia nie jest bynajmniej mrzonką, nie zajmuje się spekulacjami mistycznymi ani też nie operuje dawnymi, przekazanymi przez tradycję symbolami, które obecnie utraciły wszelkie znaczenie. Ma ona do czynienia z żywymi siłami przyrody, których działanie da się sprawdzić w każdym wypadku eksperymentalnie — i, mimo nieustanne nadużycia oszustów i nieuków — jest jednak najzupełniej obiektywną, całkowicie współczesną nauką.



Znak Byka wedle drzeworytu z dzieła Bacharach: „Astronomia” z r. 1545



Znak Byka wedle drzeworytu z dzieła Leopoldus de Austria „*Compilatio de astrorum scientia*”. Augsburg 1489

Wobec tego życie powinniśmy w pełni potwierdzać diagnozę arabskiego astrologa.

Ma to istotnie miejsce.

Niejednokrotnie wskazywano w prasie naszej na dziwaczny zbieg okoliczności, polegający na tem, że ważne wydarzenia naszej historii mają miejsce w maju. A wówczas właśnie słońce — najpotężniejszy twórczy ośrodek życia całego naszego systemu planetarnego posyła swe promienie na ziemię przez znak Byka, i tem bezpośredniem swem działaniem wywołuje efekty takie, jak konstytucja 3go maja lub nawet ostatni zamach majowy.

Trzeba dodać, że przeciwległe znaki zodiaku są ze sobą związane bardzo silnie — stanowią jakby jedną całość, złączoną przez opozycję. Gdy jakiś znak reprezentuje pierwszy dom horoskopu — to przeciwległy znak zodiaku oznacza dom siódmy — współdziałania z innymi, małżeństwa, traktatów, a przede wszystkim — wrogów otwartych i wojny. To też nie dziwnego, że w historii naszej odgrywają również wybitną rolę oprócz wypadków majowych, wydarzenia zachodzące w miesiącu listopadzie, gdy słońce ożywia wszystkie aktywności opisane powyżej. Zwrócono na to również uwagę w naszej prasie i cytowano wypadki, od okropnej rzezi Pragi dokonanej przez Suworowa w dniach 3 i 4 listopada 1794 r. Po krwawym 1 listopada 1905 r. w Warszawie — nastąpił wszak 5 listopada 1916 r., gdy imię Polski, wymazane z karty Europy, wypłynęło z krwawej zawieruchy wojny światowej.



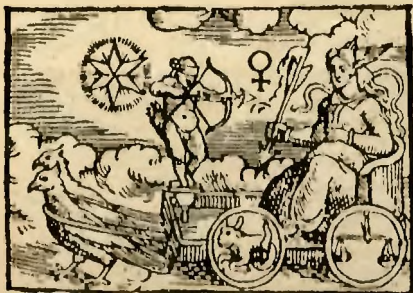
W dwa lata później zawitał na ziemi polskie inny, promienny listopad, gdy powstała w całym swym blasku z ciemni grobowej wolna i niepodległa ojczyzna, a jednocześnie trzytygodniowe krwawe boje listopadowe przyniosły wyzwolenie Lwowa. Wszystkie te wypadki listopadowe mają wyraźne zabarwienie wojenne — zgodnie z charakterem domu siódmego horoskopu.

O ile bowiem w pierwszym domu horoskopu, reprezentującym danego człowieka lub naród — znajduje się znak Byka — to przeciwnie dom siódmy zająć musi wówczas znak Skorpiona, przez który właśnie słońce przechodzi w listopadzie.

Ponieważ słońce oznacza ożywiające siły ducha, jakie się manifestują w ludzkości — skoro człowiek rodzi się z pozycją słońca w jakimś ze znaków zodiaku — oznacza to, że twórcze siły danego znaku zodiaku pragną się przejawiać przez taką jednostkę, o ile jej rozwój na to pozwoli — rzecz prosta.

Skoro zatem Polsce odpowiada znak Byka — należałoby oczekiwać, iż wybitniejsi lub też bardziej charakterystyczni przedstawiciele polskości urodzili się z pozycją słońca w tym znaku.

Miało to miejsce istotnie. Tak urodzili się: król Kazimierz Wielki, Wincenty Pol, autor „Pieśni o ziemi naszej”, Orzeszkowa; 2-go maja: Zygmunt Naskowski, znakomity kompozytor; 3-go maja: Henryk Rzewuski — wybitny powieściopisarz o specjalnie narodowym charakterze; 4-go maja generał Karol Kniaźiewicz oraz znany autor kaszubski



*Wenus na wozie triumfalnym ciągniętym przez gółębie; na kołach wyobrażone znaki Byka i Wagi, rządzone przez Wenere — Drzeworyt z dzieła: „Opus mathematicum octolibros auctore D. Joanne Taismerio” z r. 1583*



*Symboliczne wyobrażenie księżyca na wozie triumfalnym. Drzeworyt z dzieła „Leopoldi compilatio de astrorum scientia” z r. 1489*

dr. Florjan Cejnowa (Wojkosyn) przyjacieli Polski; 5-go maja — najbardziej może typowi przedstawiciele geniuszu polskości — Stanisław Moniuszko i Henryk Sienkiewicz; 6-go maja Stanisław Przybyszewski; 7-go maja ksiądz Józef Poniatowski i t. d.

Jak widzimy — przykładów nie zabraknie. Ale najbardziej typowym jest — z punktu widzenia astrologicznego — niezapomniany Władysław Reymont, który urodził się w dniu 6 maja o wschodzie słońca i reprezentuje wobec tego najbardziej charakterystyczne wartości twórcze tego znaku. To też jego słynną powieść „Chłopi” można uważać wprost jako apoteozę znaku Byka i jego właściwości.

Jakież są cechy charakterystyczne tego znaku, do którego znakomity astrolog arabski odniósł naszą ojczyznę przed dziewięćset laty?

Przedewszystkiem trzeba podkreślić, że jest to znak polegi i chwały — jeden z trzech pierwszych znaków zodiaku, zwanych w starożytności „boskimi”. Poza tem znak Byka należy do wielkiej czwórki znaków „stałych” stanowiących oś zasadniczą zodiaku, których symbole zostały podane czterem ewangelistom — przyczem znak Skorpiona został zastąpiony symbolicznie przez orła. W tych czterech znakach Byka, Lwa, Skorpiona i Wodnika mieściły się ongiś wielkie gwiazdy stałe, zwane w tekstach klinowych

Babilonu „stróżami nieba” — Aldebaran, Regulus, Antares i Fomalhaut. Obecnie, z powodu t. z. „zjawiska precesji” gwiazdy te przesunęły się do znaków sąsiednich.

Znak Byka należy do „elementu ziemi”, co wskazuje na rozwój rolnictwa. Jest to znak skoncentrowanej lecz biernej potęgi. Wszystkie elementy lotnej i ognistej ekspansji, jakie reprezentują pierwszy znak zodiaku, Baran, zostały w drugim znaku skrytyzowane w potężną siłę oporu. Temu właśnie należy przypisać, że podczas wszelkich prześladowań i ucisków — wykazujemy niesłychaną potęgę i nawet rozwijamy się wówczas i zdobywamy nowe horyzonty.

Podręczniki astrologii tak charakteryzują znak Byka:

Siły życiowe zodiaku zostały tutaj ujęte silniej, aniżeli w jakimkolwiek innym znaku: wielka siła utrzymania, zachowania, potęga ujęcia—typowe dla znaku Taurus. Człowiek urodzony w czasie przejścia słońca przez ten znak będzie dogmatyczny, praktyczny, zawzięty, wytrwały, okaże silne skłonności i niechęci, dużo nieufności, a również i nadmierne skoncentrowanie na swej osobie.

Zarówno przykład naszych chłopów współczesnych jak i średniowiecznej szlachty — daje nam liczne wzory zalet i wad tego znaku. Te ostatnie zwłaszcza — chęć wyodrębnienia się, postawienia na swoim, pychę i nadmierną skłonność do użycia — typowo reprezentowała szlachta w czasie upadku Rzeczypospolitej.

Z punktu widzenia astrologicznego — znak Byka jest znakiem „żeńskim”. Już przed dwoma tysiącami lat wyśmiewano się z tego „Byka rodzaju żeńskiego”. Jest to wszelako oznaczenie czysto teoretyczne — nie mające nic wspólnego z czworonogiem zwierzęciem, a kto wie, czy nie tej żeńskości właśnie zawdzięczamy duże zdolności asymilacyjne, jakie przejawiały się we wchłonięciu licznych rodów litewskich, tatarskich, niemieckich, bojarских, ruskich. Tu należy również doszukiwać się wskazówek na liczne, a pomyślne unje, których zawarliśmy więcej, aniżeli jakiekolwiek państwo.

Ta żeńskość znaku Byka rzuca również pewne światło na uczuciowość i wrażliwość naszych mężczyzn i energię oraz uświadomienie narodowe kobiet.

Wedle zasad astrologii znakiem Byka

rzadzą dwie planety: księżyc, który ma w tym znaku swą „egzaltację” t. j. wyniesienie, oraz Wenera, która jest jego „gospodarzem”.

Wpływy księżycy przejawiają się w sentymentalizmie, uczuciowości, nastrojowości, romanizacji, zmienności w życiu marzeniami, zamiłowaniu do podróży, a również i w silnem rozradzaniu się rasy. Wpływ zaś Wenery jest w gruncie rzeczy bardzo wysokiego rodzaju i reprezentuje najwyższe ideały ludzkości — wolność, miłość, braterskość — a dzieje naszego narodu dostarczają licznych przykładów w tym kierunku.

Słusznie stwierdzamy z dumą, że te ideały, które obecnie ludzkość wciela w swych urządzeniach państwowych, ten nowy porządek rzeczy, w którym prawo nieskrępowanego rozwoju będzie zapewnione zarówno każdej indywidualnej jednostce jak i zbiorowisku — są ideałami naszymi, do których zawsze dążyliśmy i które wielaliśmy w naszych urządzeniach państwowych.

Słynne prawo z r. 1425 „Neminem captivabimus nisi jure victum” poręczało, że każdy szlachcic może być więziony tylko na podstawie wyroku sądowego, co zostało później rozciągnięte i na mieszczan. Nikt nie mógł być prześladowany za opinię wygłoszoną w sprawach publicznych. Obrady sejmowe odbywały się jawnie, wobec szerokiej publiczności, a z projektami nowych praw mógł wystąpić każdy poseł.

Do typowych cech znaku Byka odnieść należy także odezwanie się, jak n. p. Jakóba Niemojewskiego, który rzekł do Stefana Batorego:

„Miłościwy królu! Chowaj w całości nasze przywileje — a będziesz nam miłościwym królem. Jeśli nie — będziesz Stefanem Batorem, a ja — Jakóbem Niemojewskim”.

Charakterystyczne cechy znaku Byka — pewność siebie i demokratyzm — przejawiały się w przysłowiach:

„Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”.

„Choć boso, ale z kordem i t. p.

Ale najcharakterystyczniej przejawiał się wpływ Wenery — patronki miłości, połączenia i harmonji w unjach, zawieranych przez nasz naród. Akta unji horodelskiej, ułożone przez Polaków, tak się zaczynają:

„Nie dozna łaski zbawienia kogo nie we-



sprze miłość. Ona jedna nie działa marnie, promienna sama w sobie gasi zawiści, uśmierza swary, użycz wszystkim spokoju, skupia co się rozpierzchnęło, podźwiga co upadło, wygładza nierówności, prostuje krzywe" i t. d.

Temi samymi słowy i w naszych czasach podręczniki astrologiczne określają rolę, jaką odgrywa w życiu ludzkości dodatni wpływ Wenerę...

Jak trafnie zauważył historyk Kalinka — „Cały ustrój Rzeczypospolitej opierał się na dobrej woli obywatela”.



*Współczesny rysunek niemiecki przedstawiający znak Byka i jego patronkę Wenerę*

Rozpisujemy się tu dlatego tak długo o przykładach historycznych, gdyż dane astrologiczne mogą nam dostarczyć ciekawych wskazówek co do interesującego zagadnienia:

„Co jest istotą polskości?

Niewątpliwie z punktu widzenia astrologicznego Żeromski rozstrzygnął to zagadnienie w swej słynnej „Dumie o Hetmanie” najzupełniej trafnie. Chęć niczem nieograniczonego przejawiania swej woli — jest w najwyższym stopniu charakterystyczną dla drugiego znaku zodiaku.

Porzućmy jednak rozważania historjograficzne i przejdźmy z powrotem do astrologii praktycznej.

Znaków zodiaku jest dwanaście. Jasną jest rzeczą, że narodów i ras jest znacznie więcej. To też na jeden znak zodiaku przypada nieraz po kilka państw lub narodowości. Wedle zasad astrologii to, co dzieje się w danym znaku zodiaku na niebie — odbija się na życiu danego narodu. Jednakże niezawsze i nie w sposób identyczny; wszakże każdy z narodów ma swój własny horoskop — odpowiadający momentowi narodzin poszczególnego człowieka, t. j. jakiś akt założenia państwa, koronacji pierwszego króla i t. p.

Oprócz tego — wszak astrologja zawsze podkreśla, że nie ma nic wspólnego z fatalizmem. Już starożytność stwierdzała, że „astra inclinant, non necessitant” — t. j. gwiazdy predysponują lecz nie zmuszają.

Że jednak istotnie to, co dzieje się na niebie w znaku Byka odbija się na losach naszego narodu — przykładów na to nie zabraknie. Dość wspomnieć rok 1920, w którym to roku miały miejsce dwa zaćmienia, uważane przez astrologów za fatalny prognostyk właśnie w znaku Byka. 3-go maja miało miejsce zaćmienie księżyca, a 18-go zaćmienie słońca. W tymże czasie bolszewicy przerwali nasz front i zaczął się odwrót wojsk polskich...

W dniu 12 maja 1926 r. miał miejsce niezwykle wstrząsający nów w znaku Byka. Księżyc zajął wraz ze słońcem niesłychanie rzadko zdarzającą się pozycję — jednego z czterech ramion krzyża, uformowanego przez Saturna, Neptuna i Jowisza, a nawet marne kalendarze astrologiczne niemieckie mogły z tego wywnioskować „Umsturz in Polen”.

A jak się te wpływy astrologiczne odbijały na innych narodach należących do znaku Byka?

Najwybitniejszymi z narodów odnoszonych przez astrologję do znaku Byka, nie-



*Stylizacja modernistyczna znaku Byka*

wątpliwie są Persja i Irlandja. W czasie ciężkich walk latem r. 1920-go cała Irlandja wyla się w potokach krwi i pożarach wojny domowej. W Persji w czasie tym panowały również wielkie zamieszki.

Naszą niepodległość odzyskaliśmy w jednym czasie z Irlandją w listopadzie 1918 r.,

a gdy u nas w czerwcu 1926 roku zabiło po-  
sta rosyjskiego Wojkowa — w tymże czasie  
w Dublinie zginął z ręki skrytobójcy mi-  
nister Higgins.

Warto tu może również wspomnieć, że  
wszak w maju 1926 roku Riza Han Pehlevi  
stracił szacha perskiego z tronu i zajął je-  
go miejsce...

Persja była ongiś państwem niezwykle po-  
łącznem — pierwszym wszechświatowem pań-  
stwem wogóle. To też znak Byka obdarza  
nas niewątpliwie wielkimi możliwościami  
państwowo-twórczymi. Równie wielkie dane  
mamy w kierunku ekspansji artystycznej.

W zakończeniu artykułu pozwolimy sobie  
na kilka ogólnych wniosków — zresztą —  
czysto astrologicznych.

Istnieje zasadnicza różnica między naro-  
dami męskimi — jak n. p. Francja, podle-  
gająca wpływowi męskiego znaku Lwa i na-  
rodami, w których przeważa wpływ znaków  
żeńskich zodiaku. Nasza wspaniała sojusz-  
niczka, mianująca siebie słusznie „La Gran-  
de Nation” tworzy nieustannie nowe formy  
i promieniuje je na świat cały. Francji ma-  
my wszak do zawdzięczenia formy towarzy-  
skie, formy artystyczne, formy polityczne,  
a nawet formy dyplomatyczne. Jak wulkan

wyrzuca z siebie coraz nowe możliwości  
twórcze, burzy formy stare i zastępuje je  
nowymi.

Znaki żeńskie zodiaku przypisują nato-  
miast zbyt wiele znaczenia formie i dzięki  
temu podpadają zbyt łatwo pod jej władzę.  
Trzeba dodać, że tu należy również i życie  
uczuciami, sentymentami, wzruszeniami, emo-  
cjami, marzeniami — t. j. przejawy życia  
psychicznego żeńskie, księżycowe — w prze-  
ciwstawieniu do cech słonecznych, męskich  
t. j. — woli, świadomości, logiki, jasnej my-  
śli. Kto kieruje się uczuciami, odrzucając  
myśl — łatwo pobłądzi. Wiecznie zmieniają-  
ce się fale uczuć, marzeń, sentymentów —  
emanacje księżycowe — nieustannie się wa-  
hają — i wkońcu muszą podlegać ogólnie-  
mu prawu — wyrównania energii — prowa-  
dzącemu do uspokojenia i równowagi. I tu  
dopiero może się rozpocząć działanie myśli,  
która jest daleko pewniejszym oparciem, —  
bowiem nie wywołuje uderzeń zwrotnych  
i nie przechodzi z jednego krańca w drugi —  
jak to z konieczności musi zawsze uczynić  
uczucie.

*Jan Starza Dzierzbicki*  
Prezes Polskiego Towarzystwa  
Astrologicznego

## Nowy Certotrop



spełnia wszystkie wasze życzenia!

Optyka 4,5 3,5 **2,9!**

Łatwo wymienne obiektywy

Przykładane kasety dla rozmiar  
6½ × 9.

Przykładane ramki matówkowe dla  
wszystkich rozmiarów, nadto wiele  
innych ulepszeń.

Katalog 1931 — bezpłatnie.

Prosimy obejrzeć tę kamerę u swego dostawcy!  
Napewno się ona spodoba!

**CERTO — CAMERA — WERK, DRESDEN — ZSCHACHWITZ 710.**





fot. J. Bulhak, Wilno

*Antyki*



*Ewa Kuncewicz*

fot. Dorys, Warszawa

*Przestrach czy zdziwienie?*



# Ludzie i zwierzęta

Mówią, że zwierzęta, a szczególnie psy, poznają się instynktownie na ludziach „dobrych”, że mają do nich zaufanie i nigdy nie robią krzywdy takim ludziom. Mówią też odwrotnie, że „dobrzy” ludzie zwykle lubią zwierzęta i nie krzywdzą ich nigdy.

I jedno i drugie twierdzenie jest niezawodnie słuszne, jeśli chodzi o zwierzęta swoje, które dzięki stałemu obcowaniu z ludźmi zdołały poniekąd poznać cechy ich charakteru i skutkiem tego potrafią nieraz od

pierwszego wejrzenia poznać „jak komu z oczu patrzy”. Inaczej być zapewne musi ze zwierzętami dzikimi, żyjącymi na swobodzie, zdala od ludzi, nie mającymi z nimi nic wspólnego. Skąd na przykład lew dziki, tygrys lub słoń w dżungli znać się może na ludziach, których nie widział nigdy przedtem, a potem, gdy ich zobaczył, poznawał ich zwykle jako najzacieklejszych swoich wrogów? Instynkt samozachowawczy nakazywał takim zwierzętom unikanie słyszności z ludźmi, nie dyktował żadnej sympatii. Nie mówi się nigdy o przyjaźni poskromionych bestyj dla poskramiaczy: taka bowiem przyjaźń jest tylko strachem.

Niżej umieszczamy kilkanaście zdjęć fotograficznych, ilustrujących „dobre stosunki” wzajemne między ludźmi i zwierzętami.

Pewien marynarz floty Stanów Zjedn., po powrocie z dalekiej podróży wita z rozczuleniem, woła—  
przyjaciela lat dziecinnych.



Znany aktor filmowy, pies „Flash”, cierpiał bardzo na zęby, kiedy więc zaprowadzono go do dentysty w Los Angeles, poddał się z zupełnym zaufaniem zabiegom lekarza i według słów dr. Moby pomimo niewątpliwego cierpienia, przez cały czas operacji zachowywał niebywałą godność.





Panna Davall, sekretarka d-ra R. Dilmars'a, znakomitego badacza wężów, żyje w jaknajlepszej komitywie z pupilami swego szefa.

Marceline Day, gwiazda filmowa Hollywood, najczęściej ze wszystkich zwierząt lubi małe, czyściutkie prosiaczki.



Bardzo brzydka, ale podobno niezwykle sympatyczna para buldogów i ich młodociana właścicielka. Psy te były ulubieńcami publiczności na wystawie psów „wysokiej rasy” w Pasadenie w Kalifornii.



Dziecko kolonisty australijskiego żyjące w bardzo dobrej zgodzie z kangurami.

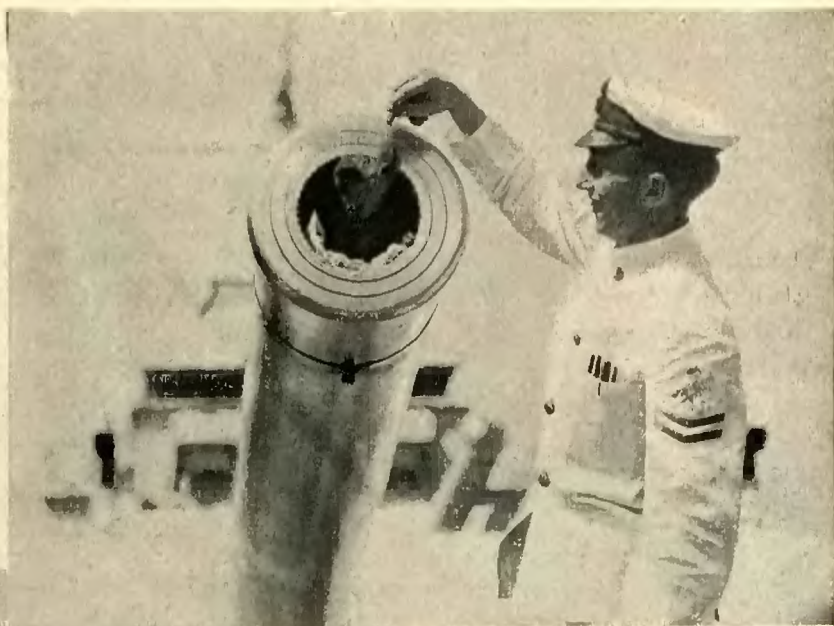


Pewien właściciel cyrku wytresował swego psa na doskonałą niankę własnego dziecka. Oczywiście — w Ameryce.

Olbrzymi żółw, który pewnego razu podczas swej wędrówki trafił przypadkowo do jednego z hoteli w Mombasie (Afryka płd. wsch.), gdzie został doskonale nakarmiony i od tego czasu codziennie już przybywa do owego hotelu na śniadanie.



Jeden z oficerów angielskiej floty wojennej zabiera ze sobą w podróż ulubionego pieska - maskotkę, który obrał sobie na okręcie mieszkanie w lufie jednego z dział okrętowych.



Forsowana przed paru laty moda, aby wytworne panie, nie mające i nie zamierzające mieć dzieci, zajęły się wychowaniem dzikich bestyj w rodzaju panter, lwiat lub tygrysiat, z którymi możnaby się przechadzać po ulicach w zastępstwie już zbyt oklepanych psów, okazała się dość trudną do wprowadzenia dlatego, że z małych panteerek, lwiatek i tygrysiatek, zupełnie wiadać wbrew oczekiwaniom wyrastać zaczęły nietylko duże, ale ogromne lwy, pantery i tygrysy.

Oto jedna z propagatorek tej mody w Anglii. Podobno pantera-pupilka, gdy tylko podrosła trochę, zrobiła niemiłego figla swej pani: mianowicie zjadła ją doszczętnie podczas drzemki poobiedniej, pozostawiając jako jedyny dowód rzeczowy wysokie obcasy od pantofli.





Napisała:

Aleksandra Aniela Wolska

Najmilszą chwilą z całego dnia był dla Delorma wieczór. Kiedy zmęczony lekcjami wracał do siebie, odpoczywał w indywidualnej atmosferze, poza zewnętrznym przymusem i naginaniem się do różnych środowisk, wśród których pracował. W domu, otoczony stylowymi meblami, resztkami, które ocalały z rodzinnego zamku, nie odczuwał zbyt ostro zawdzięzanego ojcu kontrastu między Delormem — nauczycielem muzyki, a markizem de l'Orme — znanym przed laty wirtuozem-pianistą.

Z pośród pamiątek rodzinnych kochał najbardziej olbrzymie płótno, zajmujące całą ścianę gabinetu. Była to grupa, sportretowanych w strojach maskaradowych, kobiet i mężczyzn, niegdyś gości na zamku l'Ormerie. Oświetlony przez specjalnie rozmieszczone lampy, obraz wywierał głębokie wrażenie. Zdawało się, że sala z żółtawego marmuru i luster jest dalszym ciągiem gabinetu Delorma. Siadując często przed obrazem, Delorme lubił wpatrywać się w znane od dzieciństwa twarze maskaradowych gości.

Nie starał się odtwarzać ich charakterów. Wyczuwał je i w związku z tem każda postać otrzymywała swe imię. Niektóre były mu bliskie, inne niemiłe. Lecz wszystkie owiane były dziwną tajemnicą. Obraz mógł być nieoświetlony, a mimo to — oczy uwięzionych na płótnie postaci prześladowały go nieustannie. Czasami

spojrzenia były tak natarczywe, że poprzez skupioną uwagę przy poprawianiu zadań uczniów, odrywały Delorma od pracy. Zirytowany, odwracał się wówczas od biurka, rzucając im gniewnie:

— Proszę mi pozwolić pracować spokojnie! Nie mam w tej chwili dla was czasu, bando leniuchów!

Z pomiędzy wszystkich postaci obrazu ulubieńcem Delorma był nie dbale oparty o kolumnę, niezwyklej urody rycerz w srebrnej zbroi. Artysta poświęcił mu jak gdyby najwięcej uwagi, gdyż postać młodego rycerza zdawała się żyć. Szafirowe oczy, o długich, ciemnych rzęsach, patrzyły wprost fascynująco. Lecz te oczy nie krępowały Delorma.

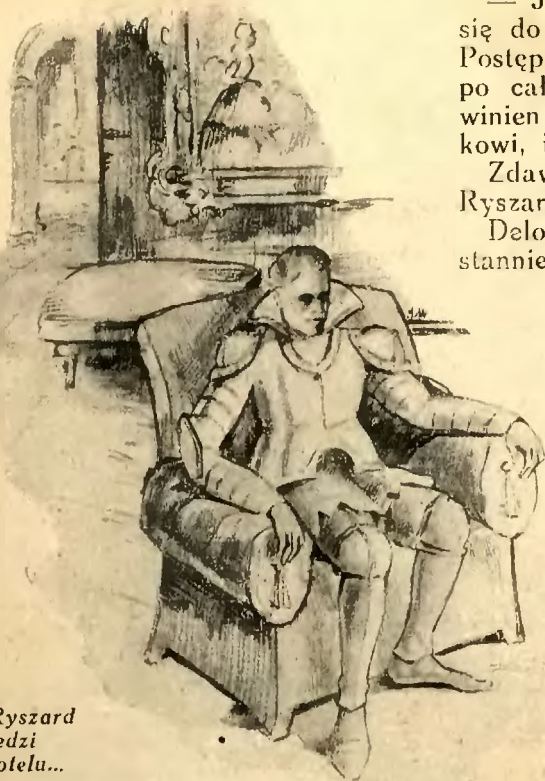
Namyslał się długo, jakie imię nadać ulubieńcowi. Nazwał go wreszcie „Ryszardem”. Z biegiem czasu zaczął go traktować, jak przyjaciela, domownika. Wychodząc, musiał mu zawsze powiedzieć:

— Dowidzenia, Ryszardzie.

Wracając — witał zapytaniem:

— Wszystko dobrze, mój stary?

Śmiał się sam z tych rozmów, które z nim prowadził, lecz żyjąc samotnie, czuł potrzebę wyrzucenia swych wrażeń na zewnątrz. Ryszard słuchał z jednakową cierpliwością jego kłopotów, radości i marzeń, wybiegających poza codziennosc, poza życie. I umiał go pocieszyć swem spojrzeniem, uśmiechem.



*...że Ryszard  
siedzi  
w fotelu...*

Pewnej nocy Delorme pracował dłużej, niż zwykle. Nagle uczuł utkwione w siebie oczy Ryszarda. Nie odrywając się od pracy, stwierdził ze zdziwieniem, że patrzą na niego nie z prawej strony t. j. od strony obrazu, lecz z lewej — od strony okna. Odwrócił się powoli i spojrzał na obraz. Miejsce pod kolumną było puste. Szybko zwrócił głowę na lewo i zobaczył, że Ryszard siedzi w fotelu. Delorme odruchowo przetaił zmęczone oczy, wstał od biurka i oświetlił obraz. Ryszard znajdował się na zwykłym swym miejscu, lecz jak gdyby uśmiechał się filuternie.

— Co to może być? Niby go widziałem, a najpewniej nie widziałem. A może to skleroza? — myślał z goryczą.

Lecz halucynacje zaczęły się powtarzać coraz częściej. Widywał Ryszarda nie tylko w gabinecie, lecz i w stołowym, aż wreszcie w sypialni. Wyprowadziło go to z równowagi.

— Jesteś niedelikatny, — zwrócił się do niego, stając przed obrazem. Postępujesz niehonorowo, chodząc po całym mieszkaniu! Gabinet powinien wystarczyć takiemu osobnikowi, iak ty!

Zdawało mu się, że zażenowany Ryszard odwrócił oczy.

Delorme męczył się jednak nieustannie pytaniem, czy Ryszard naprawdę opuszcza obraz i wędruje po gabinecie. Zaobserwował, że zdarzało się to właśnie w te dni, kiedy sam jest bardziej zmęczony absorbującą go pracą. Udał się do doktora i rozpoczął kurację. Po paru tygodniach stwierdził z radością, że Ryszard nie opuszcza więcej swego miejsca pod kolumną.

— Halucynacja! — powtarzał z zadowoleniem, wpatru-

jąc się w Ryszarda z mimowolną ironją.

Lekcje gry fortepianowej nie były na tyle dobrze płatne, by zapewnić Delormowi parę letnich miesięcy beztróskiego odpoczynku. Od kilku więc lat, zorganizowawszy zespół orkiestrowy, dawał w czasie karnawału kilka koncertów w najwytworniejszych restauracjach. Zespół Delorma był znany i potrafił zmusić publiczność do zajęcia względem niego zupełnie specjalnego stanowiska. Szanowano go i oklaskiwano równocześnie.

Przedostatni koncert zespołu Delorma odbył się w restauracji „United”. Sala była przepełniona. Wśród dyskretnie sprawowanej obsługi i umyślnie przyćmionego światła płynęła muzyka. Chwilami cisza restauracji nie różniła się niczem od ciszy sal koncertowych. Kończono — grzmiała burza oklasków.



Koncert dobiegał końca. Delorme zbliżył się do fortepianu, orkiestra zajęła miejsca. Szepcząc między sobą, muzycy nie zwrócili uwagi na dziwny szmer głosów na sali. Delorme, z rękami nad klawiaturą, miał już uderzyć pierwsze lony uwertury z „Carmen”, gdy nagle uczuł na swem ramieniu dotknięcie czyjejs ręki, równocześnie słysząc szept:

— Krzysztofie, zagrasz moją balladę. Rozdałem nuty.

W tej samej chwili wysunęło się zakute w srebrny karwasz ramię i piękna ręka, strojna w kameę, położyła na pulpicie Delorma otwarty zeszyt. Delorme zdrewniał. Ręka i pierścień Ryszarda! Odwrócił się i ujrzał go za swemi plecami. Muzycy spoglądali ze zdumieniem to na Delorma, to na srebrzystego rycerza, który szepnął znowu:

— Powiedz, niech grają. Krzysztofie! Zagrajcie pięknie!

Spojrzał na nich. Wrażenie było takie, że nie mieli siły oderwać wzroku od cudownych oczu Ry-

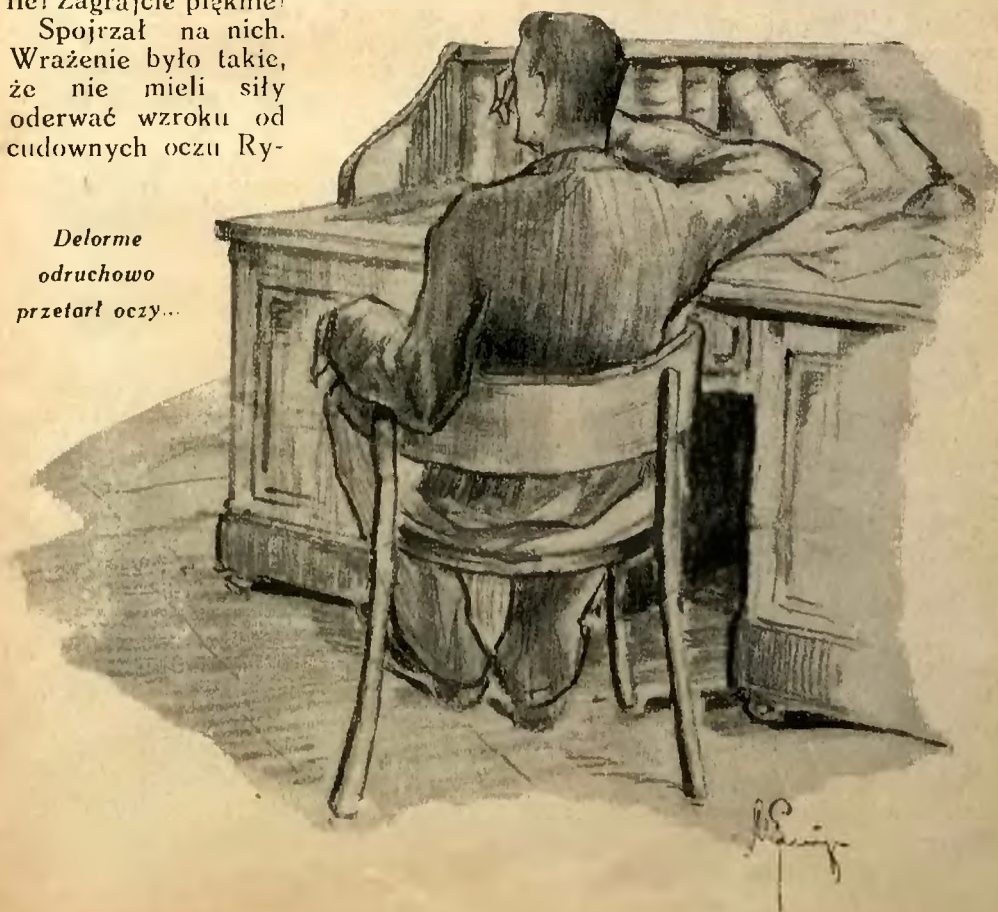
szarda. Patrzył w nie i Delorme, bładym śmiertelnie, szarpiając dławiący go kołnierzyk.

Ryszard skinął im wreszcie głową, zeszedł z estrady i, oparłszy się niedbale o balustradę, stanął twarzą do sali w wyczekującej pozie. Wpatrywał się uporczywie we wszystkie kolejno oczy. Paraliżował spojrzeniem. Gdzie niegdzie drżał jeszcze przytłumiony szept zaciekawionych gości. Ryszard wznosił wówczas ramię tak władczym ruchem, że wszyscy zastygli w oczekiwaniu. W naprężoną, niezwykłą ciszę wpadł zdławiony głos Delorma:

— Gramy!

Odrazu pierwsze takty podbiły serca wszystkich — orkiestry i publiczności. Mimo swej erudycji muzycznej, Delorme nie wiedział, czyją wykonywają kompozycję. Porwał go jednak nieznany utwór.

*Delorme  
odruchowo  
przetarł oczy...*



Zniknęła świadomość miejsca. Szemrały pinje, szeptał wiatr, szumiało morze z początku w srebrnej, księżycowej ciszy. Lecząc nagle przez całą przyrodę przeszedł podmuch burzy. Zakotyły się mocniej drzewa, wiatr szaleńczym akordem zataczał coraz szersze kręgi, huk fal i pomruk oddalonych grzmotów zasnuł wszystko ciemnym, nieprzeniknionym całunem smutku, szarpiącym wszystkie serca, wszystkie nerwy. I poprzez świat, szum i huk rozbrzmiewać zaczęła pieśń. Pieśń bez słów srebrzystego rycerza.

Głęboki, aksamitny baryton wplatał się w harmonję smutku z przejmującą ekspresją, bezmierną tęsknotą i bólem. Wpadał w środek zdań muzycznych, urywał jak łkanie, wznośli znowu ponurą skargą, rzucaną ponad głowy zgromadzonych ludzi.

Na sali słyhać było płacz kobiet. Wielu mężczyzn nie mogło opanować wzruszenia. Pieśń lucyferycznego, beznadziejnego smutku przenikała wszystkich do głębi, poruszała ukryte na dnie każdego serca zawiedzione tęsknoty, marzenia, cele. Znikł konwenans, sztuka bycia, elegancja. Rozpacz drżącej w powietrzu melodji zalewała wszystkich. Chcieli się jednak bronić przed straszliwym, trującym czarem tego cudnego głosu. Czuli bowiem płynącą ku nim gotowość porzucenia wszystkiego, by pogrążyć się w wiecznej, nieprzeniknionej nocy. Nagle w jednej z łóż rozległ się huk wystrzału. Wszyscy rzucili się ku wyjściu. Pozostać dłużej było ponad ich siły. Nie licząc, rzucali na stoły pieniądze, by tylko jak najprędzej znaleźć się na oświetlonych, tętniących codziennością i życiem ulicach.

Sala opustoszała błyskawicznie. Zapalono wszystkie kinkiety. Srebrzystego rycerza nie było. Nie widziano jednak, by opuścił lokal, lub przeszedł przez szatnię.

Właściciel „Unitedu”, gruby Dick, zdyszany, podniecony szukał go wszędzie. Wbiegł wreszcie na estradę, gdzie Delorme, wpatrzony w je-

den punkt, siedział nieporuszony, kurczowo zaciskając w dłoniach rulon nut. Muzycy nie opuścili również swych miejsc.

Dick, szarpnąwszy Delorma za ramię, mówił podniesionym głosem: — Zastrzeżił się bankier Proust! Pan wie? Policja, protokół! Pan tą muzyką pozabijał mi gości! Co to był za warjat śpiewający? Którędy wyszedł? Co to wszystko znaczy? Jeszcze nie obliczyłem, lecz — o ile poniosłem straty — nie będę mógł uregulować waszego honorarjum! Niechże pan co powie nareszcie!

Delorme spojrział na niego obojętnie, mówiąc bardzo cicho:

— Nie wiem, Dicku. Nie wiem, dlaczego ten śpiewak tutaj przybył. Nie angażowałem go. I nie wiem dlaczego graliśmy to, o co prosił. Nic nie wiem.

— Ależ panie Delorme! Jeżeli pan go nie angażował — jakim prawem powystraszał mi gości? Każę szukać i aresztować!

— Chodźmy, — zwrócił się Delorme do kolegów, — nie odpowiadając grubemu Dickowi.

Opuścili lokal, nie tłumacząc się. Byli przygnębieni. Na ulicy jeden z muzyków nieśmiało zapytał Delorma:

— Delorme, kto to był? Mówił do pana po imieniu.

— Ryszard, rycerz z mojego obrazu.

Byli pewni, że jest pijany. Pożegnawszy go w milczeniu, odeszli śpiesznie.

Nazajutrz Delorme zmuszony był wyłączyć telefon, by uchronić się od nieustannych dzwonek reporterów oraz wielu nieznanych osób, żadnych wiadomości o srebrzystym rycerzu. Dokoła samobójstwa bankiera Prousta i zjawienia się rycerza gromadzono mnóstwo domysłów. Powierzchność rycerza-śpiewaka nie odpowiadała żadnemu ze znanych artystów. Pozostawał tajemnicą. Wszędzie powtarzano to samo zapytanie:



„Czy rycerz-widmo ukaże się jeszcze raz?”

Kiedy podano zawiadomienie, że ostatni koncert zespołu Delorma odbędzie się w „Meteorze”, właściciel lokalu był oblegany. Wszyscy chcieli przeżyć orgię smutku, roznieconą przez dziwny utwór muzyczny i śpiew rycerza.

Oczekiwania nie zawiodły. Mimo policji, agentów i reporterów, umieszczonych we wszystkich wejściach „Meteoru”, nie przechodząc przez żadne z nich, srebrzysty rycerz ukazał się nagle przed estradą koncertującego Delorma.

Zamęczany pytaniami wirtuoz uchyłał się od wszelkich wyjaśnień, uprosiwszy kolegów, by zapomnieli o danej przez niego odpowiedzi, kiedy pytali go o srebrzystego rycerza. Przyrzekli. Nikt nie zdradził bezsensu tego powiedzenia. Zauważyli tylko, że w „Meteorze” Delorme patrzył na niego z czułością i oddaniem.

Delorme nie szukał wytłumaczenia zagadki dwukrotnego ukazania się Ryszarda. Wstydził się nawet skryształizować nasuwające się myśli. Przechowywał tylko jak najdroższą pamiątkę pozostawioną przez niego balladę. Wszystko to jednak wyczerpało nerwy Delorma. Najdrobniejsza rzecz wyprowadzała go z równowagi. Odozobnił się jeszcze bardziej, poza lekcjami nie widując nikogo. Samotne wieczory stały się nie do zniesienia. Lecz gdy wychodził — nieodparta siła zmuszała go do powrotu. Siadał do fortepianu i dziwny stan swej duszy uspakajał muzyką. Kończył zawsze balladą Ryszarda, mimo że wprowadzała go w jeszcze głębszą depresję.

Pewnego wieczoru, kiedy grał ją ze zwykłym, smutnym zadowoleniem, do rzeczywistości przywołał go dzwonek telefonu. Wstał i, nerwowo biorąc słuchawkę, rzucił ostro:

— Allo!

— Czy markiz de l'Orme?

— Tak. Kto mówi? — zapytał

zdziwiony, że nieznany mu głos kobiecy używa zarzuconego już zupełnie przez niego tytułu.

— Tardiese.

— Czem mogę służyć, księżno?

— Mam do pana ogromną prośbę, markizie. Właściwie... brak mi nawet odwagi powiedzieć, — mówiła, urywając.

Delorme wyczuł, że naprawdę by-



— Czy markiz de l'Orme

ła zakłopotana, lecz nie wiedząc dlaczego, był poirytowany, że piękna księżna Maya, o której dużo słyszał, uszcześliwia go swym telefonem.

— Czego „to” jeszcze chce ode mnie — przesunęła się niechętna myśl.

— Słucham, czem mogę służyć? — powtórzył zjadliwie.

— Markizie, byłam na wszystkich pana koncertach... prócz tych słynnych ostatnich dwóch, — mówiła niepewnie. — Musiałam wyjechać. Teraz ogromnie żałuję. L... pragnę zapytać, czy nie zechciałby pan zagrać u nas z całym zespołem w ścisłym kółku przyjaciół?

Wypowiedziała to szybko z szalonym zażenowaniem. Na Delorma jednak propozycja ta zrobiła wrażenie osobistej obrazy. Jakto? Kobieta z tej samej sfery jest tak niedelikatna, że nie szanuje jego dumy i zaprasza do siebie tylko w charakterze płatnego „Grającego zespołu”? Odpowiedział z uśmiechem, podrażniony do najwyższego stopnia:

— Wybacz pani, księżno! Nie jestem jeszcze grajkiem pokojowym, więc propozycji pani przyjąć nie mogę!

Chciał odłożyć słuchawkę, lecz powstrzymało go żałosne westchnienie księżnej. Po chwili milczenia zaczęła mówić:

— Nie chciałam pana obrazić, markizie. Rozumiem to wszystko. Nie miałam zamiaru, proszę mi wierzyć. Tylko ten rycerz w srebrnej zbroi... Opowiem panu. O tem nikt na świecie nie wie. Nawet mój mąż...

Niezrozumiała dla Delorma rozpacz drżała w jej głosie. Ja *muszę* — niech pan to jakoś tymczasem zrozumie — ja *muszę* wiedzieć, — szeptała gorączkowo, — czy ten rycerz się zjawi, gdy pan zechce grać dla mnie. Bo może nie być nikogo prócz męża i mnie. Tak, tak. Nie będzie nikogo więcej. Niech pan nie odmawia, markizie!

Było coś niezwykle w tym idącym z oddali gorącym, błagalnym głosie. Lecz Delorme nie chciał się



...słuchając tej pieśni,  
księżna stawiała się coraz  
bledsza..



cofać. Już rozchylił usta, by rzucić krótkie „nie”, gdy tuż obok siebie usłyszał błagalny szept:

— Nie odmawiaj, Krzysztofie!

Delorme zadrżał, serce biło mu jak szalone. Tuż obok niego stał Ryszard. W jego szafirowych, błyszczących życiem oczach malowała się prośba. Powiedział więc, chociaż cichy wewnętrzny głos ostrzegał go, że nie powinien ulegać Ryszardowi:

— Dobrze, księżno. Zgadzam się, jeżeli nie będzie nikogo więcej prócz pani i księcia.

— Jaki pan dobry! Dziękuję z całego serca! — usłyszał uszczęśliwiony okrzyk. — Jutro w południe mój będzie u pana, by osobiście podziękować za ten zaszczyt. A jaką wyznaczy pan datę?

— Za tydzień, gdyż jestem bardzo zajęty, — odpowiedział, tonąc w oczach Ryszarda.

— Dziękuję panu! Serdecznie dziękuję! Więc do widzenia.

— Żegnam, księżno.

— Odłożył słuchawkę. Ogarnęło go uczucie dziwnej niemocy i smutku. Lecz Ryszard, jak gdyby odgadując jego nastrój, pochylił się ku niemu i kładąc ciepłą muskularną dłoń na dłoni Delorma, szepnął gorąco:

— Dziękuję ci, Krzysztofie!

Wzruszony Delorme nie spuszczał z niego oczu. Lecz Ryszard odszedł już, zrobił dziwny ruch ramion dokoła swego ciała i nagle zamiast niego Delorme ujrzał przed sobą biały obłok, który falistemi ruchami zbliżał się powoli do wielkiego obrazu. Delorme spojrzał szybko. Miejsce pod kolumną było puste. Przerzucił równie szybko oczy na dziwny, biały obłok, który zbliżał się do obrazu,

zastonił kolumnę, kłębił ruchem idącym jak gdyby od wewnątrz, stawał się coraz bardziej przejrzysty, aż znikł zupełnie. Pod pustą przed chwilą kolumną stał znowu srebrzysty rycerz.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się w oczy księciu Tardiese, gdy przyszedł nazajutrz podziękować Delormowi za



*Srebrzysty rycerz wyrósł jakby z pod ziemi.*

uprzejmą zgodę na prośbę księżnej, był naturalnie obraz z balem maskowym.

— Wspaniale, markizie! Co za plastyka! Żywość postaci jest niezrównana! zachwycił się. — Ale co mnie dziwi, — dodał po chwili, — że opis widmowego rycerza z pana koncertów zgadza się zupełnie z tym urodziwym młodzieńcem z pod kolumny...

— Tak, naturalnie, — tłumaczył z zakłopotaniem Delorme. — Ale ty-

lu rycerzy nosiło srebrne zbroje i ty-  
lu ich pozostało na świecie...

— Słusznie. Ale twarz ta jest mi  
dziwnie dobrze znana. Do kogo on  
jest podobny? — mówił w zamyśle-  
niu. — Nie pamiętam. To dziwne,  
mam dobrą pamięć...

— Książę, prosiłbym jednak, niech  
pan łaskawie nie wspomina księżnej,  
że widział ten obraz. Nie należy su-  
gestjonować wyobraźni kobiet. I tak  
zbyt łatwo ulegają nastrojom.

— Ależ naturalnie, markizie. Zu-  
pełnie słuszna uwaga. Jednakże  
względem tego tajemniczego pana, —  
dodał, wskazując na srebrzystego ry-  
cerza, — na wypadek, gdyby zechciał  
nas odwiedzić — zastosuj się środki  
ostrożności. Mam dobrze wyszkoloną  
służbę i niewiele wejść do pałacu, —  
zakończył, ściskając dłoń Delorma.

Bezskutecznie. Z chwilą rozpoczę-  
cia słynnej już obecnie ballady —  
srebrzysty rycerz wyrósł jak gdyby  
z pod ziemi w błękitnym salonie.  
Książę Tardiese, mimo że podświad-  
omie oczekiwał jego przybycia, zer-  
wał się z fotelu, zaledwie zdoławszy  
stłumić okrzyk:

— Rycerz Delorma!

Usiadł natychmiast pod wpływem  
spojrzenia dziwnego gościa. Księżna  
również utkwiała w nim oczy. Malo-  
wało się w nich bezgraniczne zdumie-  
nie. Zespół nie przerywał wykony-  
wania ballady Ryszarda. W olbrzy-  
mim, pustym salonie harmonie nabie-  
rały głębszej ekspresji. Rozetkane,  
śmiertelnie smutne — szarpały ner-  
wy. A kiedy w muzykę wpłynął cu-  
downy głos srebrzystego rycerza, De-  
lorme zadrżał nerwowo, słysząc, że  
Ryszard do harmonji swego głosu do-  
łączył tutaj słowa. Dźwięczały jasno,  
wyraźnie:

„Mon amour se fraye le chemin  
Jusqu'au château du pays lointain...  
Car si on aime — la distance n'existe pas...  
Même quand on meurt — l'amour persiste...  
La-la-la, la-la-la, la-la-la...”

Słuchając tej pieśni, księżna stą-  
wała się coraz bledsza. Oczy nabie-

rały błędnego wyrazu. Nie czuła, że  
zaniepokojony książę ujął ją mocno  
za rękę.

Mysł Mayi pracowała. Doskonale,  
do najdrobniejszych szczegółów zna-  
na jej była twarz rycerza. Jest prze-  
cież jej tajemnicą. Lecz gdzie sty-  
szała pieśń, śpiewaną przez ten je-  
dyny, ukochany głos? Zna każde sło-  
wo tego wyznania rozpaczy i miłości.  
Wie, że gdy ją skończy, rycerz bę-  
dzie powtarzał tragicznie brzmiące  
„la-la-la”. Miała wrażenie, że wysi-  
łek myślowy rozsadzi czaszkę. Krew  
napływała w szalonym tempie do  
głowy. Nie wiedząc o tem, z całej  
siły ścisnęła skronie, zapatrzona  
w coś, czego nie można dojrzeć. Je-  
den błysk. Niebieski salon niknie  
z przed oczów.

Wspaniały pałac. Taras. Białe mar-  
murowe schody kończą się nad samem  
morzem. Wiosenna, księżycowa noc,  
śpiewają pinje i fale. Oparty o balu-  
stradę, stoi rycerz w srebrnej zbroi.  
Maya, w przedziwnym stroju, siedząc  
na marmurowej ławie, wpatruje się  
w jego piękną twarz. Rycerz milczy,  
choć uczucie płonie w jego oczach.  
Maya wie o tem. Kocha go, lecz mil-  
czy również, należąc do innego. To-  
ną w sobie spojrzeniem. Jest cisza.  
Lecz nagle wiatr z morza zasnuwa  
ciemnymi chmurami niebo, wzbija  
olbrzymie fale, rzuca je na schody  
białego tarasu. Jest coraz ciemniej.  
Z oddali idzie huk gromu, zbliża się  
z każdą chwilą. Maya jest przerażona.  
Zrywa się z ławy, podbiega do ryce-  
rza, tuli się do jego piersi. I wówczas,  
przyciągając ją blisko do siebie, ry-  
cerz zaśpiewał tę pieśń niezaspokoj-  
nej tęsknoty i bólu, górując głosem  
ponad wiosenną burzą: „Mon amour  
se fraye le chemin...”

Maya słyszy ją, choć w salonie  
przebrzmiała przed chwilą i w powie-  
trzu wibrują ostatnie „la-la-la...”. Sły-  
szy. Jest dla niej ucieleśnieniem ja-  
kichś okrutnych, długich cierpień,  
błagań, szukania.

Somnambulicznym ruchem podnosi  
się z fotelu i zaczyna zbliżać się do



srebrzystego rycerza. Stanąwszy przed nim, oparła ręce na jego ramionach, mówiąc głośno, bezdźwięcznie:

-- Zawsze cię kochałam, Ryszardzie. Pójdę już z tobą...

Ryszard pochylił się i ucałował jej czoło. W tej samej chwili księżna upadła zemdlna.

Powstało zamieszanie. Delorme podbiegł do Mayi. Księżę rzucił się ku rycerzowi z podniesioną ręką, lecz w oczach wszystkich Ryszard wykonał znany już Delormowi ruch ramion dookoła ciała i rozwiął się jak mgła.

Wezwano służbę. Zemdlną Mayę przeniesiono do gabinetu. Księżę, zostawiwszy przy Mayi Delorma, niespokojny w najwyższym stopniu o żonę, sam śpiesznie wyjechał po wezwanego lekarza.

Maya, pod działaniem trzeźwiących soli, otworzyła nareszcie oczy. Widząc obok siebie Delorma, zapytała, ujmując go za rękę:

— Co słychać, wuju? Dobrze się czujesz?

Spazmatyczny kurcz gardła nie pozwolił mu odpowiedzieć na ten dziwny zwrot. May mówiła bezustannie o zupełnie niewspółczesnych ludziach i zdarzeniach. Stawiała wiele

niezrozumiałych pytań, wśród których bezustannie powracało jedno:

— Powiedz mi, Ryszard nie przyjdzie?

Zmęczona, zaczęła nucić półgłosem:

„Même quand on meurt — l'amour persiste...”

Lekarz, zbadawszy stan Mayi, zaczął jej zadawać zapytania. Nie zwracała na to najmniejszej uwagi, nucąc ciągle:

„Même quand on meurt...”

W sąsiednim pokoju padło twarde orzeczenie:

— Księżna jest obłąkana.

Delorme powrócił do siebie pod strasznym wrażeniem. Czuł się winowajcą. Noc spędził bezsennie. Męczył się również, nie mogąc znaleźć nici, która mogłaby powiązać w jakąś całość ostatnie wydarzenia. Dopiero nazajutrz zdecydował się wejść do gabinetu. Spojrzał na obraz. Bolesne westchnienie wyrwało się z jego piersi:

Pod żółtawą, marmurową kolumną stał dziwnie bezduszny rycerz z opuszczoną na twarz przyłbicą.



Dokąd wpłacać na Flotę Wojenną:

Jedynie konto oficjalne kierownictwa Marynarki Wojennej P. K. O. 30650

# Najromantyczniejsza postać naszych czasów

Jak odbywa się koncert Paderewskiego w Ameryce

Skrzypek polski p. Robert Perutz, obecnie profesor konserwatorium w Cincinnati (Ohio) który jeszcze w czasie swych studiów genewskich u Henryka Marteau wszedł w serdeczne stosunki przyjacielskie z Paderewskim, w ten sposób opowiada o koncercie Paderewskiego w jednym z miast amerykańskich.

Małe, 60-tysięczne miasto w stanie Zachodniej Wirginji. „Auritorium” — sala koncertowa, nie stojąca w żadnym stosunku do ilości mieszkańców — mieści 4 tysiące słuchaczy. Estrada, którą też trzeba było wykorzystać — przepelniona! Wzdłuż estrady niebiesko aksamitna zasłona. Przed fortepianem mały, czerwony pluszem obity fotel, od lat wierny towarzysz Mistrza. Cztery lampy lukowe rzucają na salę olbrzymie snopy jaskrawego światła. Wentylator, umieszczony u stropu, hałasuje zapamiętale. Z trudem przeciskam się przez rzędy krzeseł, by nareszcie odnaleźć swe miejsce. Sąsiad mój z prawej strony, typowy Amerykanin farmer, żując gumę, odrazu zwierza mi się ze swych kłopotów: jechał swoim fordem, 80 mil na godzinę, miał po drodze awantury z motorem, ledwo zdążył na czas, gotów mieć nieprzyjemności w drodze powrotnej, a musi zdążyć rano do domu... Sąsiadka moja z lewej strony, jakaś starsza jejmość w okularach, nabożnie wpatrzona w estradę, informuje mnie, że jest nauczycielką fortepianu, że czasy ciężkie, wszystko jest opłatanie radjomanją, uczniów mało. Wiadomo, w oczekiwaniu chwil radosnych zawsze jesteśmy skłonni do wszelakich zwierzeń.

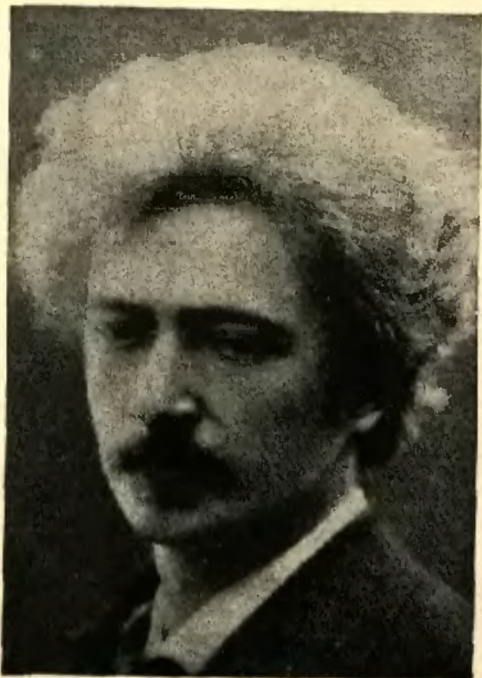
W pewnej chwili pęd wentylatora zaczyna słabnąć, by wkońcu umilknąć na dobre. Równocześnie lampy gasną, na sali panuje tajemniczy półmrok. Robi się nagle cisza, owa cisza niesamowita, poprzedzająca doniosłe zdarzenia. Farmer wyjmuje gumę z ust i przylepia ją do poręczy swego krzesła. Jest nauczony od dziecka, że podczas nabożeństwa żuć nie wypada. Chwila napiętego oczekiwania... cisza wprost złowieszcza.

Niebieska zasłona rozsuwa się. Cztery tysiące ludzi, kierowanych jakąś niewidzialną siłą, zrywa się ze swoich miejsc. Stojąc nieruchomo wpatrują się oni w Mistrza, pełni dziwnego skupienia, jakby zaczarowani. Cisza. Wtem nieśmiałe, wstydliwe prawie oklaski, które rosną, potężnieją, nabierają coraz większego rozmachu, by wkońcu rozpętać ogłuszający huragan. Paderewski stoi chwilę wyprostowany, potem schyla się głęboko. Wolnym krokiem, z podniesioną głową zbliża się do fortepianu. Publiczność szaleje — znów głęboki ukłon. Nagle wściekła ekstaza ogarnia tłumy. Tupanie tysięcy nóg, ogłuszające oklaski — łączą się w iście piekielny hałas. Paderewski staje wreszcie przed fortepianem. Jeszcze jeden, ostatni ukłon. Publiczność siada, równocześnie z Mistrzem. Znów chwila skupionej ciszy... Muzyk pod-



*I. J. Paderewski po ukończeniu  
konserwatorium*





*I. J. Paderewski — fotogr. ze zbiorów  
E. Wrockiego*

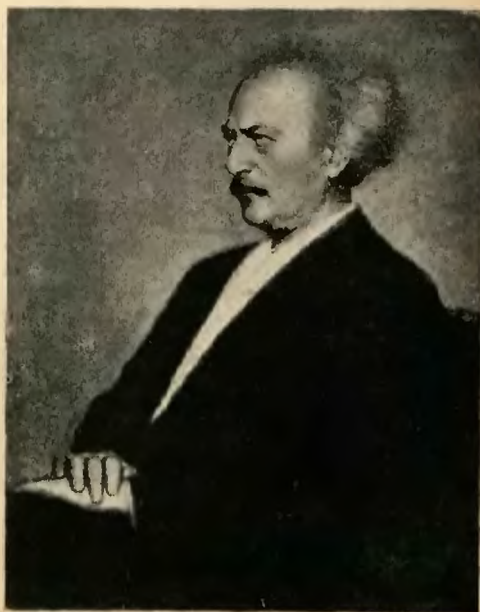
nosi ręce wysoko, rzekłbyś: błogosławi klawiaturę...

Tyle wspomnień budzi się we mnie! Mój Boże! tyle lat... Wszyscyśmy się postarzel, tylko ta *najromantyczniejsza postać naszych czasów*, ten dziwny człowiek, którego Bóg obdarzył wieczną młodością, został tym samym. Dotąd, po latach tylu, nie znalazł współzawodnika, ba! nie znalazł następcy.

Program: *Warjacje Brahmsa na temat Handla*, *sonata Beethovena*, *sonata Chopina*, *nokturn*, *dwa mazurki*, *etjuda a-moll Chopina*, *dwa preludja Rachmaninowa*, *cztery Debussy'ego*, *Wagnera* — *Schellinga wstęp do „Tristana“*, *„Campanella“ Liszta!*... Któż z młodych pianistów odważyłby się na taki program, wymagający nadludzkich sił! Ten sam bajeczny mechanizm, ten sam rozmach i temperament, chwilami nieokiełznany, a jednak nigdy nie przekraczający granic dobrego smaku! Ten sam ton, spiżowy, przepotężny w *warjacjach Brahmsa* i w *sonacie Beethovena*, rozśpiewany w *nokturnie*, smutno lękający w *mazurku*, tajemniczy w *preludjach Debussy'ego*...

Godzina jedenasta, półtrzeciagodziny program skończony. Nikt nie rusza się z miejsc, ludzie siedzą jak przykuci. „Czy to naprawdę koniec?” — pyta mnie farmer, spozierając na gumę, i klaszcze przytem w swe połączne dłonie. Gdzie tam! *Paderewski* wraca kilkakrotnie i wreszcie zbliża się do fortepianu. Znow szal oklasków, tupanie nogami. Zaczyna się serja naddatków: „*Soirées de Vienne*”, *Impromptu Schuberta*, *dwa tańce węgierskie Brahmsa*, *walc Chopina*, *Wagner*, *Liszt*, *Schumann*... To nic — publiczność tkwi, niewzruszenie przygwożdżona do swych miejsc. Wtem błysnęły lampy łukowe, wentylator zaczyna harcować — nieodwołalny znak, że koncert skończony.

Dostęp do *Paderewskiego*, jeszcze przed kilku laty trudny, jest obecnie niczem prawie nieograniczony. Mistrz stoi spokojny, poważny, bez śladu zmęczenia, witając się uprzejmie z tymi, którzy zdążyli przed pchającym się tłumem stanąć w jego bliskości. Jakiś olbrzymi jankes wyciąga swą dłoń i woła: „*brawo Paderewski! doskonale!*”. Ocean pobożania maluje się w oczach *Paderewskiego*. Wiadomo, *Amerikanin*, to wielkie dziecko... Mała dziewczynka, z kwiatkiem w rączce, podchodzi: „*Proszę Pana, czy ci*



*Ignacy Jan Paderewski  
(wg portr. B. Szankowskiego)*

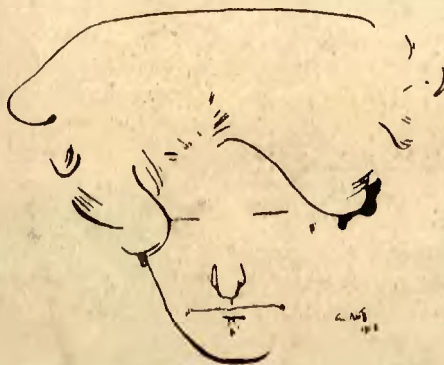
panowie, którzy te kawałki dla pana pisali, grają tak ładnie jak Pan?" Paderewski schyla się, bierze dziecko w ramiona, całuje je serdecznie. Młody, szlywno wyprostowany, jakający się mocno obywatel podaje Mistrzowi rękę: "Ja t... także gram na fo... fortepianie, jestem uczniem Pi... Pi... Pinelliego". Znów wzrok nieskończonego pobażania i odpowiedź „A, to bardzo pięknie”. Młoda pаниenka podchodzi jakby z wyrzutem „A menuet?”. Jakiś polski ksiądz, zapewne z dalekiej parafii przybyły, usiłuje wygłosić mowę: „Panie Prezydencie! Uroczysta ta chwila dla nas, rodaków, którzy zdala od Ojczyzny...” — nagle znika zepchnięty przez tłum, który nie przestaje napływać, otaczając Mistrza zwartem kołem.

Zbliżam się do wejścia. Wpada mi w oko sąsiadka, owa jejmość w okularach. Stoi w kąciuku, chciwie wpatrując się w Paderewskiego. Mówi: „Od trzydziestu lat go słucham... nic się nie zmienił. Dopiero teraz zauważałam, że posiwiał”. — „Czegóż Pani nie podejdzie do niego?” — „Nie śmiem” (Nareszcie jakaś Amerykanka, która czegoś nie śmiel). — „No, niechże Pani pójdzie ze mną, przedstawię Panią”. — „Nie, wolę nie, jeszcze się

uśmiechnie...” I nagle zrozumiałem: *jeszcze się uśmiechnie* — On, władca, potentat, spadkobierca korony i purpury królewskiej Liszta, człowiek z którego całej postaci promieniuje wielkość i majestat, osłabłby natychmiast swój magnetyzm, gdyby twarz jego, choć na chwilę, okraślił zdawkowy uśmiech, ten uśmiech, z którym tak do twarzy np. Kreislerowi. I może dlatego Paderewski nie gra swego menueta, którego większa część prowincjonalnej zwłaszcza publiczności tak bardzo usłyszeć pragnie. Czyżby ten menuet nie był dopuszczeniem słuchaczy do poufałości?

„Dał Wom Bóg złoto we włosach, żeby ludzie nie zobaczyli srebra w czosie”. Tak przed dwudziestu kilku laty witał Paderewskiego stary góral zakopiański, dawny przewodnik Mistrza. Czas dopiął swego wreszcie — srebro otacza dziś głowę władcy. Ale złote pozostało jego serce, które promieniami południowego słońca pada na ty-

siączne rzesze jego słuchaczy. I czyż nie jest dziwne, że właśnie w tej okrzyczanej, płytkiej, kapitalistycznej Ameryce, ludzie na owe promienie są o tyle więcej wrażliwi niż gdzieindziej?...



*Paderewski w karykaturze Lindoffa*





fot. Photo-Plat, Warszawa

*Obłok i gęsiarka*



fot. B. Przyłuski

*Zagadka*



# Tajemnica oceanu

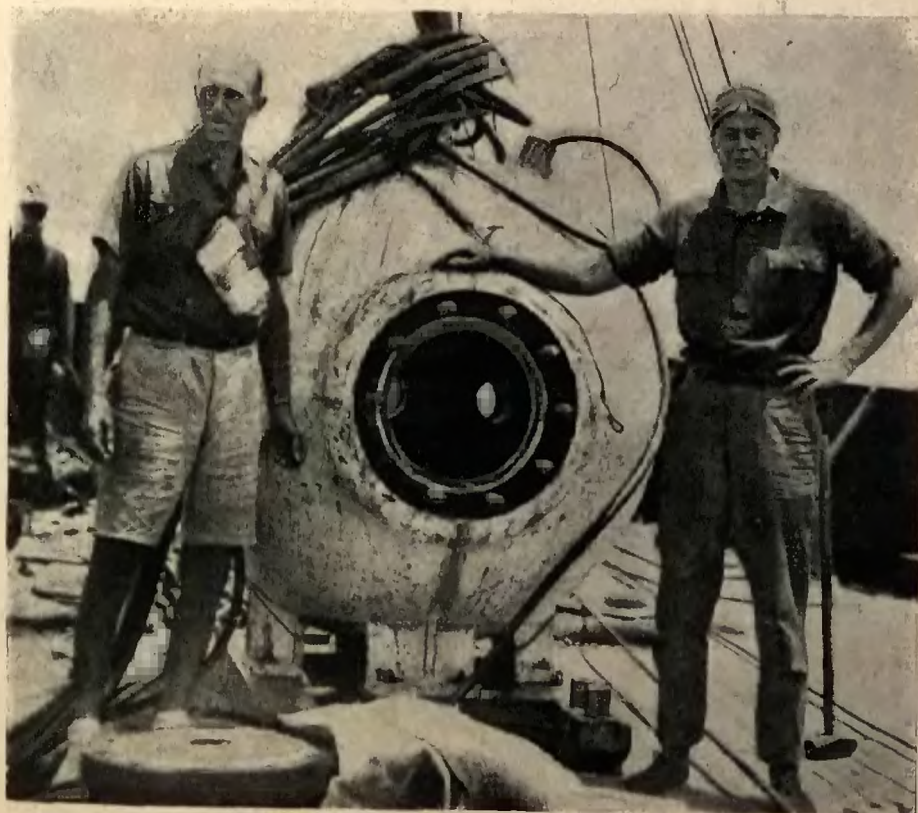
Cicho i bez rozgłosu odbyła się w końcu roku temu w czerwcu wyprawa, w przeciwnym kierunku od podróży prof. Piccarda, bo w głąb oceanu. Pan William Beebe, przyrodnik, dyrektor wydziału badań tropikalnych przy Nowojorskiem Towarzystwie Zoologicznem, oddany pracom naukowym, dopiero dziś podzielił się z szerszym ogółem swojemi spostrzeżeniami.

Pan Beebe zawsze marzył o spuszczeniu się na dno morza, wszakże nie w dobrze mu znanej roli nurka, z natury rzeczy nie mogącego się oddać spokojnie badaniu, lecz w roli uważnego widza. Dopiero dwa lata temu marzenia te zaczęły przybierać widome kształty i wreszcie przy pomocy pana Otisa Bartona, który obmyślił i sfinansował wykonanie odpowiedniej stalowej kuli, dwaj

przyjaciele dokonali piętnastu wypraw w głąb oceanu. Spuszczania się uskuteczniانو na pełnem morzu w okolicach Bermudów, gdzie p. Beebe ma laboratorium oceanograficzne, ofiarowane mu przez rząd Bermudzki.

Kula owa, mająca wewnątrz niecałe 1½ m. średnicy, ważyła 2 tonny i zaopatrzona była w zbiorniki tlenu i różne chemikalia dla pochłaniania z powietrza wilgoci i kwasu węglowego. Spuszczono ją na mocnym stalowym kablu, a druty do telefonu i do reflektora elektrycznego, który miał oświetlać ciemności morskie, mieściły się w grubej, gumowej kieszce. Kula spuszczana była z wielkiej barki, wyposażonej w tym celu w potężny żóraw i kołowrót.

Podróżni wsuwali się do kuli przez niewielki otwór, przykrywany następnie gru-



*William Beebe ze swym towarzyszem na pokładzie barki chok przyrządu w. którym opuszczali się do głębin morskich*

ba stalową pokrywą, ważącą niemal 200 kg. i mocno przyśrubowywaną. W samym środku tej pokrywy był jeszcze mały otwór, aby podczas żmudnego uszczelniania kuli umożliwić jaknajdłuższy dostęp powietrza. Kiedy zaś i w ten otvorek wsunęto i przyśrubowano pokrywę, podróżni mogli porozumiewać się już tylko telefonicznie lub na migi przez okna. Na szyby użyto mocnego i przezroczystego szkła kwarcowego. Podróżni mogli tylko siedzieć i nawet nie mogli nóg rozprostować, więc pozycja ich nie należała do zbyt wygodnych.

Pierwsza wyprawa trwała godzinę i była raczej próbna. Już druga jednak dosięgła 435 metrów pod wodą, a przy bardzo powolnem opuszczeniu można było badać kolejno, jak się przedstawia ilościowo i jakościowo życie organiczne na różnych poziomach, jaka jest barwa wody i t. p.

Pod powierzchnią uwijały się ryby dobrane znane, niektóre mieniające się najpiękniejszymi barwami łączy, lecz im głębiej się zanurzano, tem częściej spotykał przyrodnik okazy, które poraz pierwszy widział żywe. Np. małe rybki *Cylothone signata* widziane w ruchu, gdy goniąc gromadę raczków morskich, otwierały bezustannie olbrzymie w słonsku do dwucalowej długości swojej paszcze, niczem nie przypominały wiotkich, zawsze nieżywych rybek, setkami napelniających sieci przy każdym połowie.

Ryby zaczęły tracić jaskrawe barwy. Nic dziwnego. Oświetlenie było coraz ciemniej granatowe i ciekawe było obserwować, jak w miarę zagłębienia się widmo ulegało zmianie, poszczególne barwy znikwały lub zwężały się, a wreszcie przy 240 m., gdzie już niezmiernie mało światła przenikało do okna, z widma pozostało tylko szare pasemko. Teraz nieoceniony okazał się reflektor, gdyż w smudze jego światła, jakieś płetwy zamigotały na mgnienie oka i zdradziły obecność, przezroczystych jak woda, młodych węgorzy, z mieniającymi się tylko jak klejnoty oczami.

Zanurzwszy się na 180 m., p. Beebe pisze: „od początku ludzkiej historii, kiedy pierwsi Fenicjanie ośmielili się żeglować po otwartym morzu, miliony istot ludzkich nietylko dosięgły głębokości nad którą teraz zawisliśmy, lecz nawet miały ją, aby opasać niżej

jeszcze. Były to jednak tylko — trupy, ofiary wojen i burz”.

„My byliśmy pierwszymi żywymi ludźmi, którzy widzieli to dziwne bajkowe oświetlenie. Wyobraźnia nie może go odtworzyć. Ciemny, a jednak jakby świetlisty granat, niepodobny do żadnej barwy na ziemi”...

375 m. pod powierzchnią p. Beebe natrafił na jakąś pustynię wodną bez cienia życia. Dopiero po 15 metrach ukazały się znów żywe istoty, lecz teraz były to przeważnie ryby mające zdolność wydawania światła. Czasem wyglądało to jakby setki robaczków świętojańskich uwijały się na wszystkie strony. Czasami uderzyła o szybę wielka przezroczysta meduza, z żołądkiem napelnionym masą świecącego jadła.

Poraz pierwszy ludzie widzieli żywe srebrne ostronasy (*Argyropelecus hemigymnus*). O tym przepięknym widoku Beebe pisze: „W ciemnościach dojrzałem grupy barwnych światełek, poruszających się powoli, lub jakby w przerywanych rzutach. Promienie reflektora ukazały srebrne ryby, błyszczące jak klejnoty, lecz światła na nich zgasły niezwłocznie i dopiero, gdy zgasilem elektryczność lub gdy ryby usunęły się z jej pola, natychmiast wykonywały na nowo swoje sztuki pirotechniczne”.

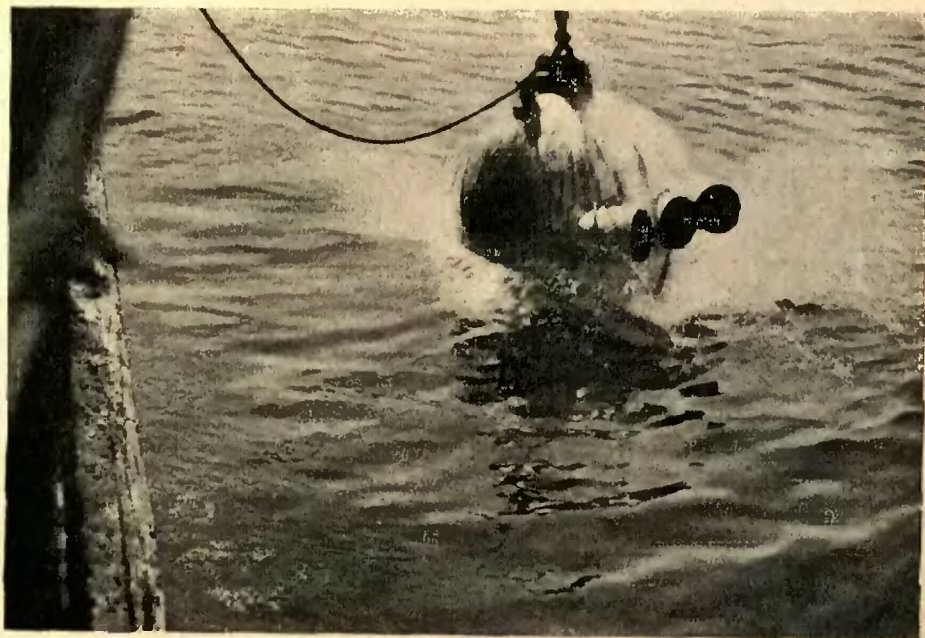
Po pewnym czasie ukazało się kilka ryb o długich, jakby szczurzych ogonach. Były zoologowi zupełnie nieznanne. Nagle z boków ich błysnęło po kilka iskrzących się, zielonych światełek, tak oślepiających wzrok patrzącego, że ryby zniknęły, jakby się rozpuściły w wodzie i nawet reflektor ich nie odnalazł.

Zawiódł również reflektor, gdy kula przepływała przez niezmierną obfitość drobnych żyjątek. Skorupiaki te i mięczaki były tak maleńkie, że choć widać było ich drgające ruchy, ich samych dojrzeć nie było można.

Kiedy osiągnięto 435 m. i kula zawisła w wodzie, Beebe opowiada: „Przyłożyłem twarz do szyby i spojrziałem w górę. W wąskim, widzialnym odcinku zauważyłem słabe pojaśnienie gruntu. Zwróciłem wzrok w dół, a choć zdawało mi się, że to jakaś otchłań piekielna bez dna, jednak był to jeszcze granat...”

„Siedziałem skulony z ustami i nosem owiazanym chusłeczką, aby przeszkodzić





*Opuszczanie przyrządu Beebe'a w głębiny*

osiadaniu pary, czoło opierałem o zimną szybę — tę przezroczystą cząstkę matki-ziemi, tak dzielnie powstrzymującej napór dziewięciu tonn wody.

W tej chwili poczułem przyplywającą falę wzruszenia i prawdziwego zrozumienia sytuacji.

Przyszło mi wówczas na myśl, że w sytuacji tej jest coś nadludzkiego, coś kosmicznego: Podczas gdy nasza barka kołysała się wysoko nad nami w gorących promieniach słońca, my wraz z towarzyszem, zamknięci w niewielkiej kuli metalowej, połączonej

siecią kabli z ową barką na powierzchni morza, jesteśmy jednak niby zbłąkaną w eterze planetą.

Pod ciśnieniem, które wyswobodzone z pęł zgniotłoby nasze ciała na miazgę, oddychamy przecież zwykłym ziemskim powietrzem, mając możliwość telefon'cznego porozumienia się ze światem, możemy czynić spostrzeżenia nad zjawiskami, których nie zdoła objąć słaby ludzki wzrok i usiłujemy objaśnić je umysłem również nieodpowiednim do wielkości zadania".

*W. P.*

# Dział grafologa

Do bezpłatnego korzystania z działu grafologii upoważnione są osoby nadsyłające przy rękopisie wycinek z *pierwszej strony niniejszego zeszytu i każdego z następnych* (I strona ogłoszeń), a *mianowicie prawy dolny jej róg.*

Szczegółowe przepisy dla nadsyłającego swe pismo do oceny dla grafologa znajdują się w Nr. 83 na str. 131—132.

## ODPOWIEDZI:

„Wiga”, moja Pociucho! Nie tak to łatwo wieść z Tobą wspólny żywot. Mając w zasadzie b. dobre serce, masz go najwięcej dla siebie. Wolę wykazujesz stałą, pozytywną, ale jakżeś wymagającą względem drugich, jak przytem nieugiętą i nieustępliwą. Poza tem, w służbie, formalistka i drobiazgowka, na stanowisku zwierzchniczem, byłabyś biczem bożym dla współpracujących. Zdanie swoje cenisz wysoko, ale nieproszona, nie kwapisz się wtrącać i cudzemi sprawami bardzo się nie interesujesz. Nie umiesz sobie czegoś „pożalać”, lecz wydatkujesz z uprzednią kontrolą budżetu i równomiernie. Zazdrość nie obca. Proszę panią o stosowanie w życiu więcej kontroli nad procesami psychicznymi własnej jaźni, oraz nad postępowaniem z bliźnimi. Uniknie pani tym sposobem wielu niepotrzebnych przykrości i rozczarowań. Przy tak realistycznym nastawieniu psychiki i pozytywnej woli, nie będzie to dla pani za trudne.

„Przeważnie” muszę zaprzeczyć temu, jakoby grafolodzy „musieli” dawać odpowiedzi wysoce(!) optymistyczne, co by w konsekwencji miało spowodować ogólne zadowolenie. Czy pan pozwoliłby tak z siebie kpić? Czy na takie kpienie z ludzi może sobie pozwolić człowiek posiadający odrobinę sumienia? Jeżeli fakt, o którym pan pisze, jest autentyczny, to p. J. popełnił podwójną nieuczciwość. Raz w stosunku do grafologii, drugi raz, względem uczestników działu grafologii. Dalej, porusza pan tyle tematów (stojących w bliższym i dalszym stosunku do grafologii), że na tem miejscu nie mogą być omawiane, choćby na to z pewnych względów zasługiwały. — Pan jest przedewszystkiem urodzonym cholerykiem i to tej miary, że dziw, iż tak spokojnie rozumuje (w liście). Pedant tam, gdzie chodzi o sprawy godne uwagi. Szybka decyzja, sprężystość i konsekwencja, choć dużo wrażliwości i choć siły, stałości (równowaga jest), ani istotnego hartu woli nie widzę. Obowiązkowy. Subtelny w uczu-

ciach, taktowny, delikatny, wyrozumiały, łatwy w normalnych stosunkach, gdy zostanie wytracony z równowagi duchowej, nie liczy się z niczem; forma w takich wypadkach jest tem bardziej rażąca, że znajduje oparcie w wysokiej ocenie swego autorytetu aczkolwiek z natury jest nieśmiały, nie lubiący hałaśliwego rozgłosu. Kobiety mu czasem włączają w paradę. Dużo zapалу; do bujania w obłokach się nie nada, lecz lotu zbyt nie obniża, nawet wśród burzy i wichru, choć nie nazbyt w walce uodporniony. Umysł wszechstronny, bystry, horyzonty myślowe rozległe, bezwzględna tendencja do ścisłej analizy, logika. Wysokie poczucie piękna, skłonność do marzeń, poplątane ze sprytem, domysłnością, a nawet wynalazczością, dyplomatycznym ujmowaniem kwestji. Sumienność (w pracy), wrażliwość, spryt i zapal, to cechy dominujące. Całość nie przedstawia uosobienia siły moralnej, jest sympatyczna, pozytywna, wartościowa intelektualnie.

„Alfa”. Sprawy poruszone przez pana są tak delikatnej natury, że ich na tem miejscu, zwłaszcza w formie przez pana oczekiwanej, poruszać żadną miarą nie mogę. Są to jednak rzeczy tak wielkiej wagi, że chętnie skomunikuję się z panem na drodze prywatnej, aby je omówić. Tylko nie zaraz, bo czasu brak. Wartość moralna jest dość problematyczna. Istnieją w tej duszy: dwulicowość, a obok niej, zbyt szczerość; przygnębianie moralne, obok ogromnej, z trudnościami mało liczącej się ekspansji; ustepliwość, brak odporności na wpływ, obok siły woli i zasadniczej zdolności czynu; gwałtowność, brak opanowania, oraz wrodzona choleryczność. Nad kieszenią nigdy kontroli nie sprawuje, a z drugiej strony wykazuje nadmiar „oszczędności” (dziurawy budżet). Materjaliści. Niezwykle zdolny kontrahent, na wstępie ci przejrzy duszę nawskróś. Umysł niepospo-

(Dalszy ciąg na str. 165—168)



## Zuzanna w kąpieli...



*i kryzys gospodarczy*

*Rys. Z. Jurkowski*

# Tonie! tonie!

Oto okrzyk, jaki zrywa się nagle w chwili katastrofy. Na brzegu rzeki bieganina, popłoch — tchórzliwsi uciekają nawet z wody na ląd. Dobrze, jeżeli w miejscu kąpielowym czuwa straż ratownicza — ludzie świadomi tego, co mają czynić. Częściej jednak wypadki zdarzają się w miejscach ustronnych, a śpieszący z pomocą tonącemu, nie wiedząc jak ma ratować, pogłębia tylko katastrofę. Słyszymy bowiem nieraz, że ra-

zresztą wszystko, co wchodzi w zakres pomagania bliźniemu — trzeba umieć uczynić we właściwy sposób i we właściwym czasie. Ale dajmy nato, że niedoszły topielec został dzięki odwadze przyjaciela wyciągnięty na ląd. Zdawałoby się, że wszystko jest już w porządku. Tymczasem?

Tymczasem na lądzie udusi się, bo ten kto umiał poświęcić się, aby go wyciągnąć z wody, nie umie uczynić zabiegu, któryby nie-

doszłego topielca powrócił do życia. Dobrze też będzie, jeżeli ci, którzy do dziś jeszcze nie wiedzą, jak ratować tonących, zaznajomią się z niniejszym szkicem ratownictwa. Jest to tembardziej wskazane, że nieumiejętność ratowania tonących słusznie



*Ratujący płył na wznak, uchwyciwszy osłabionego rękami za ramiona*

tujący utonął wraz z tonącym. Czemu przypisać to zjawisko? Wszak były tu szczere, humanitarne intencje. Odpowiedź brzmi nieco paradoksalnie: — ratujący przyszedł z pomocą nieco zawczesnie, czyli nie umiał ratować. O, bo i to, jak

*Ratujący kazał osłabionemu uchwycić się oburącz wierzchołków swych ramion*







*Ratujący, płynąc na plecach, ciągnie tonącego, uchwyciwszy go pod pachami*

wzajem wodą, pływa, ściga się. Nagle ktoś, oddaliwszy się od brzegu, wpada w lej, traci równowagę, bije bezwładnie rękoma, zanurza się, łyka wodę — tonie. Z ratunkiem spieszy kompan pływający nieźle, a nadto wiedzący jak ma ratować. Okrąża tonącego i nie zbliża się do niego, dopóki ten z bezładną energią ciska się w nurcie. Gdyby się bowiem do niego zbliżył — dostałby się natychmiast w klamry kurczowo zamykających się ramion, a unieruchomiony desperacką energią tonącego, sam stałby się tonącym, zamiast być ratującym. Dopiero kiedy ener-

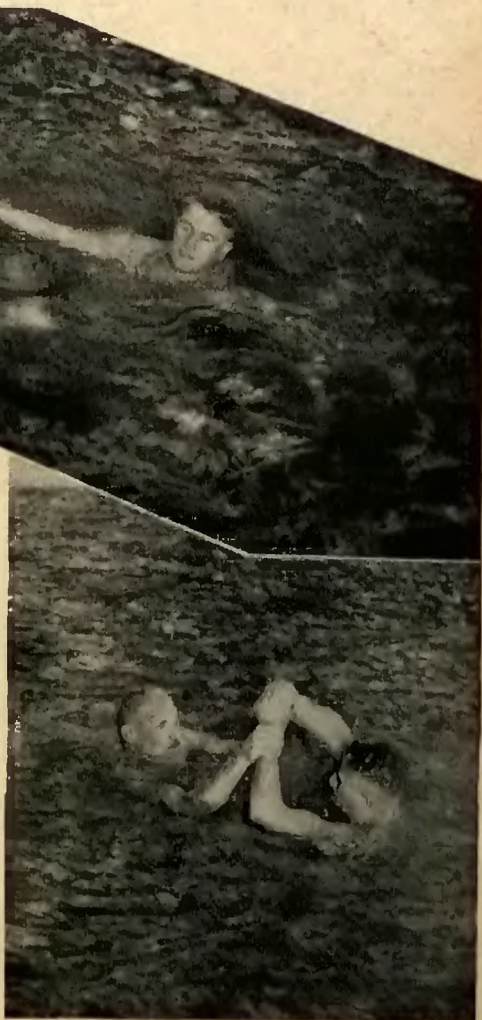
*Ratujący wiosłując jedną ręką, ciągnie za sobą tonącego chwytem za szczękę lub za włosy*

uważana być winna za grzech przeciwko cywilizacji. Jeżeli nie każdy powinien umieć pływać, to we wszelkim razie wszyscy powinni umieć ratować tonących.

Dla zilustrowania ratownictwa weźmy konkretny wypadek.

Na zakręcie rzeki, gdzie lewy brzeg pozornie nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, zatrzymuje się gromadka młodzieży. Po chwili wszyscy wchodzi do wody, gdyż nikt ich nie ostrzegł, że właśnie na takich zakrętach rzeka tworzy zdradliwe wiry, a mierzyny znajdują się tu często obok głębokich lejów. Zabawa wre: młodzież obryzguje się

*Tonący desperackim ruchem chwycił ratującego za przeguby rąk*





*Ratujący kładzie topielca  
brzuchem na swem kola-  
nie i uderza go dłonią  
pomiędzy łopatkami, po-  
wodując wyciekanie wody  
z płuc*

*Wyciągamy ramiona to-  
pielca wzdłuż głowy, boki  
jego zaś uciskamy syste-  
matycznie dłońmi, wywo-  
lując tem sztuczne oddy-  
chanie*



*Usta topielca otwieramy  
przez ucisk na koniec dol-  
nej szczęki, jamę ustną  
oczyszczamy z piasku,  
język zaś wyciągamy na-  
zewnątrz dla ułatwienia  
oddychania*



gja topielca osłabła, kiedy ruchy jego zwiotczały — należy działać szybko i metodycznie. Jeżeli tonący nie stracił jeszcze całkowicie przytomności, kompan ratuje go przy jego współdziałaniu. Płyńcie nawznak, a uchwyciwszy osłabionego rękami za ramiona — w tej pozycji, wiosłując jedynie nogami, dociąga go do brzegu. Może również kazać tonącemu mocno trzymać się wierzchołków swoich ramion i jaknajszerzej rozstawić nogi. W ten sposób płynąc, dociągnie go łatwo do brzegu w pozycji „na plecach”. Jeżeli jednak tonący stracił już przytomność, wtedy, płynąc na plecach, należy go ciągnąć chwytem ramion pod pachami, lub też, wiosłując jedną ręką płynąc na boku, drugą zaś ciągnąć za sobą ratowanego chwytem za szczękę, a lepiej jeszcze za włosy — oczywiście, o ile tonący nie jest łysy.

Są to sposoby zasadnicze, pewne i nie należy uciekać się do innych, zaimprovizowanych w chwili niebezpieczeństwa. To też wskazane sposoby ratownictwa należy wypróbować na płytkiej wodzie, — ćwiczenie bowiem wyrabia pewność i orjentację, tak niezbędne w chwili wypadku. Zdarza się też, że tonący, jak zaznaczono wyżej, chwyci ratującego za przeguby rąk. Należy wtedy natychmiast uwolnić się od tego groźnego chwytu, wyszarpując nagle ramiona ponad powierzchnię wody ruchem w dół i w bok... Ratujący, objęty ramionami tonącego winien wyslizgnąć się pod wodę; schwytany od tyłu — musi uderzyć tonącego tyłem głowy w dolną szczękę lub nos; ujęty od przodu — jednym ramieniem musi odepchnąć silnie dolną szczękę tonącego, drugim zaś, obejmując go w pasie, przyciąga ku sobie. Tak, czy owak — z tonącym walczyć należy radykalnie i szybko — w jego własnym interesie;

a doprowadziwszy go do pozycji pożądanej, dopiero kierować się z nim ku lądowi.

Tu należy przedewszystkiem tonącego uwolnić od krępujących go szal. Następnie rozewrzeć jego usta i jamę ustną oczyścić z piasku oraz iltu. Usta otwieramy przy pomocy ucisku na koniec dolnej szczęki, wyciągamy następnie język, który trzeba będzie w ciągu dalszego zabiegu przytrzymać, włożywszy uprzednio pomiędzy zęby ratowanego kawałek drewna.

Chodzi teraz o osiągnięcie dwóch efektów: wypompowanie wody z płuc i podniesienie ciepłoty oziębionego ciała, a więc wzmożenie działalności serca. Pierwszy efekt osiągamy w ten sposób, że topielca kładziemy brzuchem na swem kolanie, uderzając dłonią pomiędzy łopatkami. Następnie kładziemy go nawznak, wsunawszy pod kark wałek z ubrania. Wyciągamy jego ramiona wzdłuż głowy, boki zaś uciskamy systematycznie dłońmi. Uciskamy wolno (wydech) i odrywamy szybko dłonie (wdech). Pierwszy zabieg prowadzi do wydalenia wody z płuc, drugi powoduje sztuczne oddychanie. Nie zawsze jednak topielec zaraz po tym zabiegu zaczyna sam oddychać. Często, dzięki dopiero godzinnej cierpliwości ratującego, organizm jest w stanie zareagować na zabieg, zwłaszcza jeżeli jednocześnie zastosujemy rozcieranie nóg i ramion, a wreszcie zawiniemy go w ciepły koc. Pamiętać przytem należy, że tylko systematyczność, cierpliwość i dokładność w zastosowaniu powyższych zabiegów może osiągnąć skutek nawet w pozornie beznadziejnych wypadkach. Rozpowszechnione po wsiach podrzucanie na prześcieradłach oraz łaczenie po ziemi w ciężkich wypadkach nie osiąga pożądanego rezultatu.

Dr. M. J

# Świat naszych czytelników



„W drodze do Zakopanego”  
i „Dzieci”

Fot. W. Bartkiewicz m. Włodzimierz

Przypominamy o naszej odezwie  
do fotografów — amatorów  
w Nr. 83 „Naokoło Świata”

Fot. Z. Budzyna-Dawidowski — Warszawa



„W upalne dni maja”

„Najmłodszy w naszym rodzie”: Marek



# ROZRYWKI UMYŚLOWE



## 22. KRZYŻÓWKA.

Ułożył Edmund Miłowski z Poznania.

**Znaczenie wyrazów poziomych:** Rz. 1. Strawa, jadło. — Miasto w Albanji. Rz. 2. Góra w Kaukazie Środkowym. — Skrót muzyczny oznaczający: łącznie, łącząc. Rz. 3. Stolica republiki Peru. — Przełęcz górską. — Złuda, halucynacja. Rz. 4. Okres czasu. — Głina nawiana (fonetycznie). — Napis na receptach. Rz. 5. Zaimek wskazujący. — Placówka. — „Naprzykład” w skrócie (wspak). Rz. 6. Miasto w stanie Ohio. — Plemię Tajów w Laos. Rz. 7. Pisarz holenderski (ur. w r. 1860). — Miasto powiatowe w woj. łwowskim. Rz. 8. Figle, żarty. — Tytuł króla Abisynji. Rz. 9. Przysłówek (= wyłącznie). — Jezioro w woj. wileńskim. — Wykrzyknik. Rz. 10. Olbrzymi wąż dusiciel. — Angielska miara nici. — Kolor skóry, masę. Rz. 11. Welon. — Powaga, wzięłość. — Czynność rolnika. Rz. 12. Starożytna nazwa góry Kas Dagħ w Azji Mniejszej. — Malarz francuski (1837—1875). Rz. 13. Przyrząd do palenia tytoniu w krajach mahometańskich. — Drewniany zaprzęg kładziony na karki wołów.

**Znaczenie wyrazów pionowych:** Rz. 1. Przyrząd malarski. — Roślina z gromady wątrobowców. Rz. 2. Grupa językowa Indjan w Ameryce Płn. w okolicy jezior Erie i Ontario. — Wzniosła pieśń pochwalna. Rz. 3. Największy dopływ Wolgi. — Król po hiszpańsku. — Najwyższy Bóg Kanańczyków. Rz. 4. Imię żeńskie (spieszczone). — Przyimek. — Nuta. Rz. 5. Bóstwo egipskie. — Ziarna lnu. — Symbol chemiczny. Rz. 6. Bózek miłości, Amor. — Prawy dopływ Renu. Rz. 7. Ucięcie głowy u Turków. — Zabawa zapustna. Rz. 8. Bieg, obrót. — Pałac sultkański. Rz. 9. Dopływ Kamy. — Stolica stanu Georgia (St. Zjedn. Am.

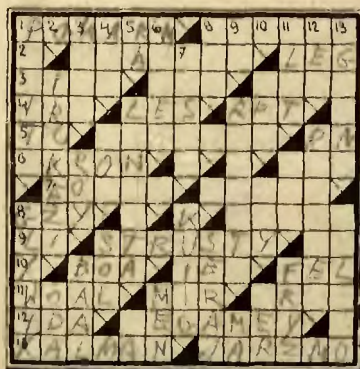
Pln.). — Inaczej posiada. Rz. 10. Zaimek osobowy. — Marszałek francuski rozstrzelany po bitwie pod Waterloo. — Moneta duińska. Rz. 11. Rzeka na Krymie. — Narzędzie do mierzenia szybkości biegu statku. — Pas ozdobny pod głównym gzymssem budynku, w kapitelach okiennych, w nadbrzwiach i t. p. Rz. 12. Samogłoska i spółgłoska (fonet., wspak). — Rzeczy upakowane, tłumok. Rz. 13. Osuszone jezioro kraterowe w pobliżu Neapolu. — Gorący i suchy wiatr, wiejący w południowej Hiszpanji od czerwca do września. Celem ułatwienia rozwiązania trudnej „Krzyżówki” podajemy sylaby wyrazów poziomych.

a, a, a, a, a, al, bo, da, da, den, e, ee, fel, ga, gus, gzy, i, i, jan, jarz, ka, kał, karm, kie, kok, kron, la, le, leg, leś, li, li, lek, ma, man, mey, mir, mo, na, na, ne, no, nok, o, o, or, pn, po, pi, ra, ra, re, sa, stru, sty, ta, ti, to, wo.

Termin nadsyłania rozwiązań Zadania 22 upływa 30 lipca 1931; obowiązuje data stempla pocztowego. Rozwiązania należy nadsyłać na pocztówkach lub z dołączeniem takowych, na których rozwiązujący winien podać swe nazwisko i adres, ewentualnie godło, i skierować pod adresem: Redakcja „Naokoło Świata” — Warszawa, Zgoda 12 — „Rozrywki Umysłowe”.

Jako nagrody za prawidłowe rozwiązanie „Krzyżówki” przewiduje redakcja w drodze losowania szereg wydawnictw Gebethnera i Wolffa z serii „Książki liljowe”.

Najładniej i najestetyczniej wykonane rozwiązania rysunkowe „Krzyżówki” zostaną nagrodzone i zamieszczone na łamach działu.



## ROZWIĄZANIE ZADANIA 20

„Naokoło Świata” nr. 82:

„REBUS”.



Rozwiązanie wykonane przez p. Wacława Grzankowskiego z Chelmży

W domu „na” - szympans - a - „m” ceruje skarpetki - i - magot - „o” w „a” - é - po „ni” Ewa - ż - pa - „ni” po „n” - as - Troja - ch - dancing - „o” w „y” - ch - dług - oś - pi.

W domu naszym pan sam ceruje skarpetki i ma gotować, ponieważ pani po nastrojach dancingowych długo spi.

Pośmiertny „Rebus” Gamastona zamieściłiśmy w rocznicę zgonu Autora, jednego z najlepszych polskich rebusistów. Z tej okazji otrzymaliśmy — zamiast wierszowanych rozwiązań dotyczących samego zadania — kilkanaście od, poświęconych pamięci Gamastona. Bardzo to chwalebny dowód czci i hołdu, ale... nie wspólnego nie miało z samym zadaniem, co, oczywiście, raczej należało mieć na widoku, zgodnie z podanymi warunkami. Co do samego „Rebusu”, to było to zadanie zupełnie łatwe do rozwiązania, to też do podanego w warunkach prekluzyjnego terminu, nadeszło 154 rozwiązań dobrych i 1 (wyraźnie — jedno!) złe. Oczywiście z tych 154 należałoby wyróżnić całą serię jednego gatunku zastrzeżeniem, a mianowicie — zamiast „dancingowych” podawano „kabaretowych”, co ostatecznie do pewnego stopnia daje się usprawiedliwić, ale co nie posiada, po małym zastanowieniu się, logicznego uzasadnienia, jeżeli weźmiemy pod uwagę całe zdanie. Zresztą nastroje kabaretowe, to coś bardzo nieokreślonego; natomiast nastroje dancingowe, to całkiem

co innego! Nie należy jednak, w rezultacie, z tego powodu rozpaczać, bo wszystkie rozwiązania z tem małym odchyleniem zostały zakwalifikowane do losowania o nagrody książkowe.

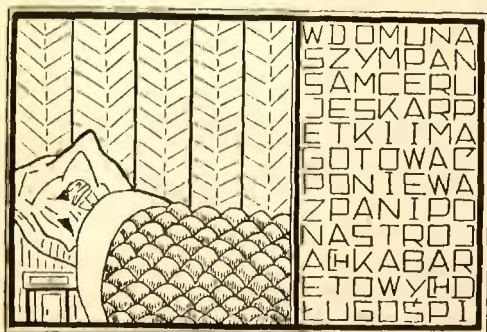
Ale już humorystycznie wygląda rozwiązanie „Rebusu” wykonane przez p. M. S. z Nowogomiasta — *Należy w domu siedzieć, żyć pończochy i gotować, ponieważ pani po nastrojach kabaretowych długo spi.* Na upartego możnaby uzasadnić (rysunkowo) całe rozwiązanie, gdyby nie za poważne potraktowanie czynności wykonywanej przez szympans (-siedzi!). No, i całe rozwiązanie z tego powodu „siedzi” w koszu.

Z kilkunastu rozwiązań rysunkowych wyróżniliśmy podane na łamach bieżącego działu rozwiązania pp. Franciszka Grochockiego i Wacława Steca z Warszawy, p. Wacława Grzankowskiego z Chelmży i p. Edmunda Miłowskiego z Poznania. Z rozwiązań wierszowanych, dotyczących treści „Rebusu”, otrzymaliśmy jedno, nie z okolic częstochowskich, ale z takimi rymami. Cześć ich niesławnej pamięci!



Rozwiązanie wykonane przez p. Franciszka Grochockiego z Warszawy.





Rozwiązanie „Rebusu” wykonane przez p. Edmunda Miłowskiego z Poznania.

## ROZWIĄZANIE ZADANIA 21

„Naokoło Świata” nr. 84:

### „ZOOLOGICZNA MOZAIKA”

Wyrazy poziome: Osa. Paw. Sęp. Kos. Tur. Jeż. Emu. Lin. Ara. Gnu. Ren. Lew. Kot. Koń. Kos. Sum. Boa. Nur. Gil. Łoś.

Wyrazy pionowe: Okapi. Agami. Pająk. Wążka. Soból. Pyton. Sieja. Kruki. Kobra. Sarny. Minóg. Tapir. Rekin. Lis. Mól. Suset. Struś. Zebra. Kobuz. Tkacz. Orzeł. Kania. Sorek.

W rozwiązaniu „Zoologicznej mozaiki” dopuszczalne są inne dwa warjanty trzech wyrazów znajdujących się w pierwszej literze figury; posiadają one jednak tak wątpliwe prawo obywatelstwa, że należy je pominąć milczeniem. Zresztą użyte były tylko dwa razy i to podane równorzędnie z właściwym rozwiązaniem, co się specjalnie chwali.

W kilku wypadkach natomiast podawano rozwiązania niepełne, co oczywiście nie mogło być brane w rachubę przy losowaniu nagród. W wielu innych rozwiązaniach cała grupa zwierząt uległa nieładziemu zmasakrowaniu, za co spotka winowajców zasłużona kara w postaci wyłączenia z losowania. Rozwiązań pełnowartościowych nieprzecięt-



Rozwiązanie „Zoologicznej mozaiki” wykonane przez p. Tadeusza Pazurkiewicza z Tarnowa.

Nagrody otrzymują, zgodnie z ogłoszonymi warunkami, drogą losowania:

„Rzeczy drobne i zabawne” P. Chojnowskiego pp.: R. Jaski z Landwarowa, Ignacy Psyk z Woli Makowskiej, Aleksander Wierzbicki z Wilna i Stanisław Szymborski z Warszawy.

Po tomiku „Monografij artystycznych” lub okładce do kompletów „Naokoło Świata” (do wyboru), za wyróżnione rozwiązania rysunkowe zamieszczone na łamach tego działu, pp.: Franciszek Grochowski i Wacław Stec z Warszawy, Wacław Grzankowski z Chełmży i Edmund Miłowski z Poznania.

nej „Mozaiki zoologicznej” obliczyliśmy 84, co, biorąc pod uwagę rzadkie okazy spotykane w ramach jej krat, należy poczytywać



Rozwiązanie „Zoologicznej mozaiki” wykonane przez p. Józefa Menzla z Łodzi.

za nienajgorszy miernik znajomości rzeczy. Ogólna ilość nadesłanych rozwiązań wynosi 118.

Nagrody otrzymują, zgodnie z ogłoszonymi warunkami, drogą losowania:

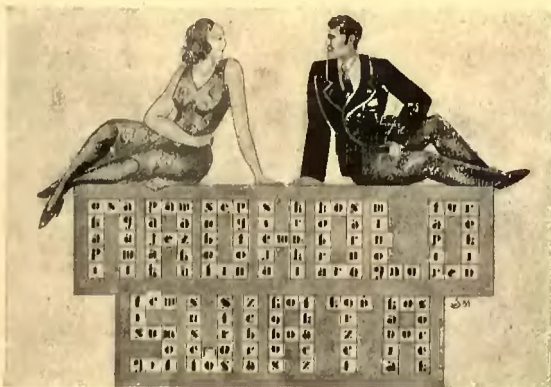
„Kobiety w pociągu” J. Pokera pp.: Marja M-ska z Warszawy i Kazimierz Przyjacielski z Wołomina.

„Najwesełsze opowiadania” K. Makuszyńskiego pp.: Jadwiga Kordylewska z Krakowa i C. K. z Warszawy.

Po tomiku „Monografij artystycznych” lub okładce do kompletów „Naokoło Świata” (do łaskawego wyboru), za wyróżnione rozwiązania rysunkowe zamieszczone na łamach tego działu, pp.: Józef Menzel z Łodzi, Tadeusz Pazurkiewicz z Tarnowa i Wacław Stec z Warszawy.

Nagrodzeni proszeni są o porozumienie się z kierownikiem działu Jarosławem Kotwiczem: zamiejscowi listownie, miejscowi —

osobiście (w piątki, od godz. 18-ej do godz. 19-ej wieczorem, w lokalu redakcji „Naokoło Świata”), celem podjęcia przyznanych nagród; zamiejscowi - winni podać dokładny adres, pod którym nagrody zostaną niezwłocznie przesłane. Poza tem zwracamy się do nagrodzonych z prośbą o łaskawe nadesłanie swych podobizn, celem umieszczenia na łamach naszego pisma w rubryce „Laureaci naszego działu”.



Rozwiązanie „Zoologicznej mozaiki” wykonane przez p. Wacława Steca z Warszawy

Ze względu na szczupłe ramy naszego działu nie będziemy podawali każdorazowo spisu rozwiązujących Zadania Pozaturniejowe; za to będą mieli nasi Czytelnicy w każdym numerze zadania do rozwiązania. W końcu roku będziemy podawali spis osób, które w ciągu roku rozwiązały najwięcej zadań pozaturniejowych, między którymi rozlosujemy, dodatkowo, kilka nagród książkowych. Uwaga powyższa dotyczy wyłącznie Zadań Pozaturniejowych.



(356). Kl. Szar. „Enigma” — Poznań. W tej sprawie prosimy o bezpośrednie pismo pod adresem wydawnictwa. Komunikaty zamieścimy przy sposobności; ze względu jednak na rodzaj i charakter naszego pisma prosimy tylko o wiadomości i komunikaty zwięzłe i krótkie, a przede wszystkim aktualne na dłuższą metę. Poza tem — życzymy powodzenia!

(357). Miłowski E. — Poznań. Za wspianą agitację serdecznie dziękujemy. „Łamigłówka matematyczna” pójdzie w VIII Turnieju. Co do Tristana Bernarda, to jest to taki sympatyczny i wesoły literat z dużą czarną brodą, coś jakby francuski Makuszyński, a przytem szczerzy entuzjasta krzyżówek, których wspianiału

zbiór sam skomponował i w książce wydał. Niedługo o nim i na naszych łamach głoszno będzie z okazji jego słynnych bon mot.

(358). Braumanowa H. — Kraków. „Krzyżówka sylabowa” Starszego Pana pójdzie — dziękujemy! Konkurs wywołał więcej szumu, niż na to zasługiwał, ale niech z tego główni organizatorzy otrząsają się.

(359). Denasiewicz K. — Drohobycz. Na Pańskim konczie brak pełnej porcji punktów z ostatniej serji rozwiązań, których nie otrzymaliśmy weale.

(360). Łukasiewicz K. — Przemyśl. Jak wyżej (odp. 359). O „zbyt ostrej” więc kwalifikacji nie może być mowy. Wina nie po naszej stronie.

J. K.



W domu naszym pan sam czerpie skarpetki i ma gotować pomarańcze po nasłotach dlanogomach długo spi

Warszawa

Wacław Steca

Rozwiązanie „Rebusu” (20 zad. pozur.) wykonane przez p. Wacława Steca z Warszawy.



# Dział grafologa

## ODPOWIEDZI:

lity, dużo logiki w rozumowaniu. W miarę przezorny, lecz mimo cały krytycyzm, wpływom niezawsze zdolny się oprzeć, szczególnie, kiedy są podane w ujmującej formie. Pogoda usposobienia, a przy naturalnej, czasem raczej skromnej pozie, swada i werwa. Drobiazgowy. Tam, gdzie chodzi o wypełnienie obowiązku, wykazuje niezłomność woli. Lubi i umie stać na czele. Naogół skryty, mówi prawdę bez względu na skutki. Dużo uczuciowości, a przecież potrafi okazać brak serca. Energja. Całość nie bez zastrzeżeń pod względem wartości moralnej.

„Adam” potrafi panować nad sobą, ale ogromnie porywczy. Zmysłowy. Brak przezorności, wola słaba, gdy chodzi o wpływy, tak, że musi się znajdować w dobrem oloczeniu, aby nie ulec moralnej depresji. W wykonywaniu przedsięwzięć, znajduje w sobie dość siły przeciwstawczej, a jakkolwiek ogromnie wrażliwy, nie zraża się łatwo i wykazuje równowagę psychiczną. Bardzo łagodny, cichy, łatwy w codziennem pożyciu, na stanowisko kierownicze nie nadaje się, dla zbyt miękkiej ręki. Wesoly, ruchliwy, zbyt nie przeciążać się nie lubi, lecz wytrwały. Oszczędny, zabiegliwy, choć bardziej ręki nie ściska, równowagę budżetu utrzymać jest w stanie. Dużo życiowego sprytu, przemysłowości, brak istotnej, życiowej tężyzny. Umysł ruchliwy, wykazuje większą tendencję do ścisłej pracy. Subtelny lecz nietrwały w uczuciach, trzeźwość w traktowaniu ważniejszych spraw nie wyłączona, naogół brak realizmu. Żadnej tendencji do ukrywania choćby ciężkich grzechów, bez potrzeby nie „gada”, jednak sam niezawsze wie, gdzie powiedział to, a gdzie tamto. Jawnie nigdy nie oponuje, w kwestjach spornych woli być toujours „correct”, inlymnie konspiracja nie wyłączona. Niby prostolinijny, niby „wyraźny”, a jednak procesy psychiczne odbywają się w atmosferze tajemniczości, — dla braku skłonności do introspekcji, jemu samemu nie jasnej, nie zdeklarowanej.

„Dyskobot” niezwykła u mężczyzny, zwłaszcza przy tak typowo męskiej postawie życiowej — subtelność. Pierwsze, ogólne wra-

żenie streszcza się w słowach: kryształowa dusza. Wrodzona, rzadka szlachetność duszy a taka trzeźwość poglądów i taki realizm w myśleniu, rozumowaniu, a nawet odczuwaniu. Wrażliwość na moralne piękno, zdolność uplastyczniania (w umyśle) intuicją bądź myślą chwyconych „postaci”, a przylem tendencja do ścisłej analizy. Bez ruchu, pracy, jak ryba bez wody, przepada, zwłaszcza duchowo. Stałość, siła, hart woli i tam, gdzie o mniejsze i gdzie o ważne idzie sprawy. Wielkie zamilowanie prawdy, której bez potrzeby nie wyjawia, kogokolwiekby dotyczyła; raczej zamknięty w sobie, lecz bez skrytości i obludy w postępowaniu. Bardzo sumienny, systematyczny, bez cienia przesady w czemkolwiek, nawet w prostocie. Swoboda dziecka bożego w umyśle, sercu, wewnętrznem i zewnętrznem obcowaniu ze światem. Zalecałoby się trochę mniej idealizowania a więcej krytycyzmu w stosunkach z ludźmi, chyba, że to już ma być powołaniem, czy jak niektórzy mówią, przeznaczeniem pana. Ja nie mam nic, prócz poważania dla Waści, a może i trochę (mówię na uszko)... zazdrości.

„Wicher” kto wie, czy nie bardzo trafny pseudonim. Nie mogę zrozumieć, jak przy równomiernej, przewidującej gospodarce, może być taka szarpanina w wystarczalności, która świadczy o tem, że pani niezawsze stoi na wysokości zadania gospodyni. Arcydokładna, nie wykazuje drobiazgowości. Zamiłowanie dobrobytu, przy jednoczesnem abstrahowaniu kwestji posiadania. Nader uprzejma, towarzyska z natury, b. żywa, pracowita, choć robota nie pali się w jej rękę. Muszę też stwierdzić, że „karesy” dobrodziejki nie mają podkładu czysto bezinteresownego. Umysł jasny, wyobraźnia żywa, dyplomacja ciągle u niej w „robocie” tak w słowie, jak i postępowaniu; istoty sprawy niezwykle trudno dociec, acz z kłamstwa bezpośredniego robi sobie skrupuły. Indywidualizm; niezależności duchowej wykazuje mało. Są zdolności literackie, lecz wybitnego stanowiska ani w tej, ani w innych dziedzinach nie zajmie. Dość pretensjonalna pod względem ubioru i zewnętrznej prezencji, choć

skromna, a czasami nieśmiała w występowaniu. Lubi myśleć i marzyć, jest poczucie piękna, obok którego drzemie w duszy materializm, który jest jedną z głównych przyczyn niemożliwości wzniesienia się na wyższy szczebel, dajmy na to w pracy literackiej. Serce dobre, ale trzeźwa, jak mężczyzna. Nierzadko bezwzględna, szczególnie w kwestji obowiązku. Ostra. Dużo konsekwencji. Całość na miarę względną, zwłaszcza w samodzielności duchowej.

„*Marję Krystynę*” uprzejmie proszę o podpis. Odpowiedzialności za pracę nie można przyjąć, jeśli warunki nie są należyte. A moja odpowiedzialność jest podwójna: względem grafologii i względem uczestników działu grafologii. Jeśli mi pani ociosa kolki na głowie, niech wiem przynajmniej — za co. Bez podpisu, ani rusz.

„*Małpa zielona*” (brzydkal) nie załączyła mi swego podpisu (pseudonim służy tylko dla dyskrecji, do odpowiedzi; podpis zwyczajny, własny, musi być), ani też wycinka z N-ru 83 „*Naokoło Świata*”. Po uzupełnieniu warunków, otrzyma analizę w kolejności pierwszego zgłoszenia.

„*Nierealny*”. Odpowiedź zostanie ogłoszona w „*Naokoło Świata*” tylko po uprzednim dopełnieniu wszystkich warunków. Brak w liście pana tak podpisu, jak wycinka. Czekam na uzupełnienie.

„*Nita T.*” również bez potrzeby opóźniła odpowiedź dla siebie, brakiem własnego podpisu. Podpisanie się pseudonimem jest niewystarczające.

„*Jerzy*” proszę o nadesłanie wycinka. W przeciwnym razie, rękopis pana, niestety, nie będzie mógł być uwzględniony w odpowiedziach grafologicznych w „*Naokoło Świata*”.

„*Kwiecień*” cel, jaki ma załączenie wycinka, ogadła pani należyście. Kolejność przyszła prędko. Niestety, wskutek braku podpisu (podpisała się pani tylko pseudonimem), odpowiedź musi być odłożona aż do nadesłania właściwego podpisu. Wtedy, list pani zostanie załatwiony już bez kolejności. Czekam.

„*Lula*” bardzo chętnie udzielę wskazówek, ale warunki muszą być dopełnione bez wyjątku. Proszę zatem łaskawie podpisać swój

rękopis, a list pani zostanie załatwiony w kolejności pierwszego zgłoszenia.

„*I. St. G.*”. Student, dziadzio, babunia, lew salonowy, tylko nie roześmiana dziewczyna. A jeśli pani nie ma racji? Poza tem, czemuż to dobrodziejka nie dopełniła wszystkich warunków. A nuż pani jest „dwójduchem” w jednym ciele, i jak ja będę wówczas wyglądać robiąc analizę pani, bez jej podpisu? Albo podpis, albo... separacja. Co pani woli?

„*W. Arton*” (nie wiem czy pseudonim należyście odczytany, bo b. niewyraźny. Tę *jedną rzecz*, pisząc do grafologa, który pracuje publicznie, tj. w jakimś wydawnictwie, należy bezwarunkowo — o ile się chce uniknąć przykrych pomyłek — pisać *wyraźnie*). Szalony imperatywizm, namiętność, odwaga, stosunek do życia bojowy na całej linii, przedsięwzięcie nie biorące w rachubę przeszkód i trudności. Fizycznego wysiłku nie lubi. Wielka uprzejmość wymuszona interesem bądź zależnością (w zarabkowaniu). Skryty, kłamstwo nie obce zwłaszcza, gdzie idzie o „grubszą” sprawę. Przyjacielowi rad, zwierza mu się uczciwie. Obietnic, zwłaszcza w pieniężnych sprawach, dotrzymywać nie umie. B. zmysłowy, daleko idzie pod tym względem. Logika cechuje jego rozumowanie, radykalne, jak cała taktyka. Gdyby pan miał skromniejsze rozumienie o swej intelektualnej wartości, toby nie zaszkodziło a umniejszyło przeciwników. Dość skłonny do podlegania depresji, dźwiga się z przygnębienia szybko, tak, że się ujawniają częste falowania na powierzchni jego psychiki. Nie żałuje sobie niczego, żyje na stopie „granda”, choć w pewnych wydatkach lubi „obcinać” co się da, z jutrem się nie liczy. Roztargnienia stosunkowo częste. Dyplomacja. Brak zdecydowania? Całość namiętna, ekspansywna (duchowo), ale mało hartowna, formalistyczna, bywa niepotrzebny zapal. Jeśli pan myśli na serio o zmianie, tj. poprawieniu swego usposobienia, musi się pan do tego zabrać z całą polegą dobrej woli. Samodzielnie pan nie pójdzie w tej żmudnej pracy; impuls potrzebny panu ze strony osoby drugiej, którejby pan ufał i którąby považał.

(Ciąg dalszy w numerze następnym)

